Nr. 9. Kraków, Wrzesień 1916. Rok X.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
i ADMINISTRACYA:
Kraków,
ul. Franciszkańska L. 3.

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU IX-go:

Nadzieja chrześcijańska wobec wojny.

Na południe od morza Martwego, w ziemi Hus, mieszkał dawnymi czasy człowiek bardzo majętny, szanowany i pobożny, imieniem Job. Żył w dostatku wszystkiego i był bardzo szczęśliwy. Naraz jednak spadła nań okropna niedola.

Pewnego dnia przybywać poczęli z różnych stron posłańcy, a każdy z nich przynosił wieść, coraz smutniejszą.

Jeden mówił „Sabejczycy wpadli i zabrali wszystko, a czeladź pozabijali“. — Drugi donosił: „Ogień spadł z nieba, spalił owce i sługi, ja sam tylko ocalałem“. — Trzeci znów prawił: „Chaldejczycy zabrali wielbłądy, pozabijali stróżów, ja tylko jeden uciekłem“. — Czwarty wreszcie oznajmiał: „Synowie twoi i córki byli na uczcie u najstarszego brata. Nagle powstał straszny wicher, wstrząsnął węgłami domu i dom się obalił, a wszyscy zginęli: ja tylko jeden uszedłem“.

Job z żalu rozdarł szaty swoje i rzekł: „P a n d a ł. P a n w z i ą ł: j a k o s i ę P a n u p o d o b a ł o, t a k s i ę s t a ł o; n i e c h b ę d z i e I m i ę P a ń s k i e b ł o g o s ł a w i o n e.“

A kiedy później, wyzuty już ze wszystkiego, okryty strasznym trądem siedział na kupie gnoju, a przyjaciele i żona własna naigrawali się z niego i ową niedolę za karę Bożą mu poczytywali, sprawiedliwy mąż mówił: „J e ś l i ś m y p r z y j ę l i d o b r e z r ę k i B o ż e j, c z e m u ż b y s m y z ł e g o p r z y j ą ć n i e m i e l i?“

Większej mądrości w nieszczęściu nikt nigdy na świecie nie okazał. I nie dziw! Wszak przez usta tego sprawiedliwego męża mówił Duch Boży, a słów jego dopełnił Zbawiciel, gdy się ludziom kazał modlić: „Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi!“

We wszystkiem na świecie pełni się wola Boża, a dalsze losy życia sprawiedliwego Joba, który cierpliwie wszystko był przetrwał, a potem zdrowie i majątek

odzyskał, dowodzą, iż Bóg, choć nieraz ciężko doświadczy człowieka, wszystko jednak ku jego dobru czyni.

Jeżeli w czasie obecnej wojny zauważyć się daje pośród ludzi wzrost życia religijnego, to przypisać to trzeba temu, iż jedynie wiara święta dać może człowiekowi siły ducha, potrzebne do przetrwania najstraszniejszej niedoli, bo mu daje nadzieję, opartą na sprawiedliwości i wszechmocy Boga samego.

Większość trwa nadzieją. A tę większość stanowią nawet ci właśnie, co najwięcej cierpią, bo też ci najbiedniejsi najwięcej wiary mają, wiara zaś ufać im każe. Codzień bowiem mówią słowa modlitwy: „Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi“ i wierzą, że wszystko, co się dzieje, z woli Boga się dzieje.

A choć Bóg smaga i niedolą człowieka dotyka, to dla dobra człowieczego tylko, boć w tem smaganiu okupują się winy i skarbią zasługi na żywot wieczny. Cierpienie przemija, a ów żywot w szczęśliwości trwa wiecznie.

I to właśnie, że nadzieja chrześcijańska prowadzi człowieka w zaświaty do wieczności, gdzie niemasz ni cierpienia, ni niedoli, ni strasznej śmierci, jeno niewypowiedziane, wieczne szczęście daje ludzkiemu sercu tę wielką moc, iż ono przetrwać potrafi najstraszniejsze nieszczęście i nie ulęknie się niczego. Choć bowiem na człowieka przyjdzie zagłada i straszna śmierć go porywa, to tak, jak ów Job cierpliwy, mówi wtedy: „Wiem, że Odkupiciel mój żywie i w dzień ostateczny powstanę z ziemi. I będę obleczon w skórę moją i w ciele mojem będę oglądał Boga mego, którego ujrzeć mam ja sam i oczy moje będą oglądały, a nie inny. Schowana jest ta nadzieja w sercu mojem.“

Tą też nadzieją tłómaczą się owe wszystkie bohaterskie męczeństwa Chrystusowych wyznawców, którzy pośród najokropniejszych mąk zachowali zawsze spokój, a ku podziwowi prześladowców śmierć podejmowali z weselem. Chrześcijańska nadzieja przyszłej szczęśliwości dawała im to, czego nic na świecie dać by im nie mogło: moc przetrwania. Wobec nadziei chrześcijańskiej ustępuje nawet śmierć ze swą grozą.

Ze wszystkich narodów świata najboleśniej dotknęła obecna wojna nas, Polaków. Pogorzały nasze wsi i miasta, krocie tysięcy legły i zaścieliły swymi mogiłami puste rozłogi, gromady bezdomnych sierót snują się po pogorzeliskach, a jednak nikt nie rozpacza; wszyscy ze spokojem czekają lepszego jutra. Tak! Bo też ze wszystkich narodów ziemi, naród polski jest do wiary świętej najwięcej przywiązany i z tej też wiary czerpie tę dziwną moc przetrwania największej niedoli. Ufa w miłosierdzie i sprawiedliwość Bożą.

Odwieczne wybrańtwo.

(Na dzień Narodzenia N. Maryi. P.).

Kiedy Bóg w twórczych zamiarach swoich stanowił o człowieku, iżby był królem stworzenia na ziemi, a uczestnikiem chwały Bożej w wieczności przejrzał był już wtedy wszechwiedzą Swoją dzieła człowiecze i widział, iż ten człowiek, wolną wolą obdarzony w synostwie Bożem się nie ostoi, lecz podniesie bunt przeciw swemu Stwórcy i Panu i utraci niebieskie dziedzictwo, w odwiecznem postanowieniu Swojem Syna Swego jednorodzonego na okup upadłej ludzkości przeznaczył i o Jego wcieleniu z ziemskiej Matki wyrokował.

Od wieków, nim pierwsza gwiazda zabłysła na niebie, nim na słowo Boże zawirował w przestworzu ten proch ziemny, z którego powstał potem człowiek. Monarcha wieczny, dzierżący w wszechmocnej prawicy berło rządów świata, któremu służą Aniołowie, a ranne zorze, ziemia, morze i żywioł wszelki śpiewają w hołdzie: Bądź pochwalon Boże wielki, Bóg w całym majestacie swej niepojętej doskonałości, stanowi o ubożuchnej dziecinie Joachima i Anny z Nazaret, iż będzie Matką Syna Jego.

Stąd wielka chwała Maryi. Stąd stosują się do Niej prorocze słowa Pisma św.: „Pan mnie posiadł na początku dróg swoich, pierwej, aniżeli co uczynił z początku. Jeszcze nie było przepaści, a jam już poczęta była, ani jeszcze źródła wód nie wyniknęły, ani jeszcze góry ciężką wielkością były stanęły, przed pagórkami jam się rodziła. Gdy gotował niebiosa, tamem ja była. (Przyp. 8. 22).

W myśli Bożej stanęła Najśw. Marya Panna jako najpiękniejsza, jako najświętsza i jako najlepsza ze wszystkich cór ziemi, łaski pełna, we wszystkie cnoty zdobna, wzór wszelakiej doskonałości, bo miała być Matką Tego, co jest pełnią łaski, Matką Słowa „przez które Bóg okręg ziemski i niebo ogniste i powietrze i wody stworzył przeźroczyste“.

Stworzenie ma być Matką Stwórcy. Niepojęte to w porządku ludzkiego działania, możliwe jeno w dziełach nieskończonego miłosierdzia Bożego. To macierzyństwo Słowa wynosi Maryę do nieskończonej chwały.

Bo to słowo, o którem św. Jan mówi w Ewangelii, to Syn Boży, przez którego wszystko się stało. Przez Słowo powołał Bóg wszystko do życia.

Rzekł Bóg i stało się niebo, a w niem nieprzeliczone hufce Aniołów stanęły u Jego tronu pełne miłości, pokory i posłuszne na Jego skinienie.

Rzekł Bóg i stała się ziemia, krąg ziemski zawisł w przestworzu, a na nim stanął człowiek i na mocy rozkazu Stwórcy: „Roście i mnożcie się i napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną — stanął jako jej władca.

Rzekł Bóg, a przez Słowo Jego wszystko się stało, co się stało — słońce zawisło na błękicie, gwiazdy usiały niebo, poruszyły się wody morskie i nurty rzek, zaszumiały zielone lasy, rozśpiewały się ptaszem kwileniem gaje, wzorzystem kwieciem okryły się łąki — przez Słowo.

Przez Słowo przyszło życie na świat, przez Słowo ożyła ludzka dusza w łasce, a Matką Słowa — Marya.

Na początku trzeciego roku wojny.

Z końcem lipca a z początkiem sierpnia minęły już całe pełne dwa lata, jak w tej części ziemi, którą my zamieszkujemy, wybuchnął cały szereg wojen po-

między wielkiemi mocarstwami, które to wojny my zwykle nazywamy jednem słowem wielką wojną Europejską. — Tak więc wojna trwa już przeszło dwa lata, a obecnie znajdujemy się na początku trzeciego roku trwania wojny.

Wojna zatem ciągnie się już rok trzeci. Gdyby był ktoś powiedział na samym początku, że wojna tak długo potrwa, to ludzie mieliby go za szaleńca! Wszyscy bowiem byli przekonani, że wojna dzisiejsza potrwa co najwyżej kilka miesięcy. Widzimy jednakowoż, że wszyscy zawiedli się w swoich obliczeniach i przypuszczeniach.

Już rok temu, w pierwszą rocznicę wybuchu wojny Ojciec św. Benedykt XV. zwrócił się do wszystkich panujących i zwierzchników państw i zaklinając ich na miłość Bożą i krew Zbawiciela za wszystkich ludzi przelaną, wzywał ich do przywrócenia pokoju. Niestety wołanie jego nie odniosło pożądanego skutku.

Teraz znowu niedawno w drugą rocznicę wybuchu wojny zwrócił się Ojciec św. do wszystkich katolickich dzieci w całej Europie, ażeby dnia 30. lipca przystąpiły do wspólnej, uroczystej Komunii św. i ażeby prosiły Boga o przywrócenie pokoju. I tak się stało, jak pragnął Ojciec św. Nie wiemy tylko, kiedy Bogu spodoba się wysłuchać modlitwę niewinnych dzieci.

Sędziwy monarcha Austryi, cesarz Franciszek Józef I. wydał też w drugą rocznicę wybuchu wojny odezwę do swoich ludów. Drga w niej nuta wielkiego współczucia dla wszystkich swoich poddanych: „Serce moje w zaniepokojeniu ojcowskiem — pisze cesarz — podziela z wszystkimi mymy wiernymi troski, jakie na nich ciążą, a które oni tak wytrwale znoszą, podziela boleść za poległymi, obawy o stojących w polu, obawy z powodu zaburzenia owocnej pracy pokojowej i dotkliwe utrudnienie wszelkich warunków życiowych“.

W odezwie cesarza Niemiec drga również podobna nuta: „Po dwuletnich strasznych burzach bije we wszystkich piersiach tęsknota za słonecznym promieniem pokoju. Ale wojna trwa dalej!...“

Taksamo ze strony Anglii i Francyi wydano podobne odezwy. We wszystkich się akcentuje, że wojnę musi się prowadzić dalej aż do zwycięskiego końca.

Tymczasem żadna strona nie odniosła jeszcze zupełnego zwycięstwa, w tem znaczeniu, ażeby przeciwnik został całkowicie powalony i zdruzgotany, tak, żeby nie był zdolny do stawiania dalszego oporu. I nawet niewiadomo, czy takiem ostatecznem rozstrzygnięciem zakończy się ta wojna, czy też zostanie ona właściwie nierozegrana.

Tak więc jak dzisiaj sprawy stoją musimy się przygotować jeszcze do długiego trwania wojny.

Wojna już wiele nauczyła ludzi. Uważajmy ją więc przedewszystkiem za straszną karę Bożą i pokutujmy za grzechy, ażeby ubłagać miłosierdzie Boże. Widocznie bardzo zepsuty był rodzaj ludzki i dziś jeszcze nie okazał prawdziwej skruchy i poprawy, gdy Bóg chłoszcze go tak długo rózgą swego gniewu. Prośmy więc szczerze Boga, by wstrzymał swoją karzącą prawicę.

Im dłużej trwa wojna, tem więcej widzimy kalectwa, biedy i nędzy. Tembardziej więc okazujmy dla drugich litość i miłosierdzie. Niechże człowiek nie będzie człowiekowi wilkiem, ale bratem i przyjacielem!

Pieniędzy otrzymanych za rekwizycye i za wysprzedanie różnych rzeczy nie marnować, nie obracać na niepotrzebne rzeczy, na stroje, ale zachować i zaoszczędzić na czasy powojenne, bo potrzeba nam będzie dużo pieniędzy na zakupno inwentarza i na odbudowę zniszczonego kraju.

Umieć cierpieć, wytrwale znosić wszystkie biedy, zachować spokój i równowagę ducha, a nadewszystko nieograniczoną ufność w dobroć i miłosierdzie Boże, oto, czego nam wszystkim dziś najbardziej potrzeba!

Największy polski wojownik, sługą Maryi.

Jakób Sobieski, wyprawiając synów, Marka i Jana na nauki do Krakowa, nauczycielowi ich gorąco zalecił, iżby chłopców na Piasek, przed cudowny obraz Bożej Rodzicielki często wodził. Chętnie spełniali młodzi Sobiescy pobożne polecenie ojca. Nie dziw zatem, że, wcześnie serca do czci Najświętszej Panienki zaprawiając, na gorliwych sług Jej wyrośli. Zwłaszcza młodszy Jan, późniejszy król i największy wódz polski czcią Bogarodzicy tak się przejął, że każde działanie od wezwania Jej pomocy poczynał, a wszystko, czego dokazał, opiece Najśw. Panny przypisywał.

Jeszcze hetmanem będąc odniósł w roku 1673 sławne zwycięstwo nad Turkami pod Chocimem. W całej Europie wywołało ono podziw i cześć dla wojennego talentu polskiego wodza. Wielką chorągiew, zdobytą wtedy na Turkach posłał Sobieski przez Gnińskiego, opata wągrowieckiego, Klemensowi X., papieżowi do Rzymu. Papież kazał ją zawiesić w bazylice św. Jana Laterańskiego.

Nim jednak Sobieski, gorliwy czciciel Maryi, na onę chocimską wyprawę ruszył, przód w Podkamieniu, w dominikańskim klasztorze do „różańcowego bractwa“ się wpisał i opiece Bożej Matki siebie i wojsko polecił.

W dziesięć lat później, w roku 1683 ten sam bohater chrześcijaństwa, Jan Sobieski, już wtedy król polski pod Wiedeń ruszał.

Sułtan Mahomed IV. zebrał był olbrzymią, na owe czasy niebywałą armię i wysłał ją przez Węgry na zdobycie Wiednia, serca Europy. Chodziło o to, czy Krzyż, czy półksiężyć panować będą w Europie. Chwila była ważna, przełomowa, jak owa w roku 312 za Konstantyna Wielkiego. Zrozumiał doniosłość położenia król Sobieski i na prośby papieża Inocentego i cesarza Niemiec, Leopolda I., na czele znanej na cały świat polskiej jazdy, pospieszył na odsiecz zagrożonego Wiednia.

Dnia 12. września kazał król Jan wystąpić chorągwiom przed ołtarz Najśw. Panny Maryi na Kahlenbergu, nad Wiedniem. O. Marek z Aviano, świątobliwy kapucyn, odprawiał Mszę św. Król wraz z przedniejszymi z rycestwa Komunię św. przyjął. Na chorągwiach kazał wypisać imię „Marya“ i pod Maryi opiekę oddał losy bitwy.

Po skończonem nabożeństwie wydał rozkazy. Książę Karol Lotaryński uderzył na jedno skrzydło wroga, a książęta saski i bawarski na drugie.

Kiedy Sobieski spostrzegł, że Niemcy na skrzydłach źle walczą i chwiać się poczynają, dał znak pol-

skiemu rycerstwu i całą siłą runął na środek nieprzyjacielski. „Marya!“ wołali Polacy, siekąc szablami na lewo i prawo. „Allach“ krzyczeli Turcy, ginąc pod cięciem polskiego miecza.

Siła natarcia Sobieskiego rozbiła w puch wroga. Zwycięskie zastępy chrześcijan pędziły uciekających Muzułmanów kilka mil poza Wiedeń. Zwyciężyli Polacy, zwyciężyła Marya! Krzyż odniósł wielki tryumf nad pogromionym półksiężycem. Wiedeń został oswobodzonym i uratowane wszystkie kraje chrześcijańskie.

Chwałę tego zwycięstwa przypisał pobożny król pomocy Najśw. Panny. Gdy na tę wyprawę ruszał udał się przód do Częstochowy, na Jasną Górę. Tam poleciwszy się Matce Najświętszej z otuchą w sercu dosiadał konia. Księża Paulini wręczyli wtedy sławnemu już, pogromcy Turków szablę, z bogatą rękojeścią. Sobieski oddał jednak drogą rękojeść ks. Przeorowi, mówiąc, że na wojnę tylko żelazo mu potrzebne.

Gdy po zwycięstwie wjeżdżał tryumfalnie do miasta, wdzięczni Wiedeńczycy ofiarowali mu, jako zwycięzcy, wieniec. Sobieski złożył wieniec na ołtarzu Najświętszej Maryi Panny Loretańskiej, w kościele OO. Augustyanów w Wiedniu. Jej się przed wyprawą polecał, Jej też po zwycięstwie złożył pierwszą podziękę.

Z pola bitwy pod Wiedniem wyprawił Jan Sobieski dwóch posłów do Rzymu i sekretarza swego, Tomasza Tolenti, Włocha, z własnoręcznym listem, który się zaczynał od słów: „Przyśliśmy, zobaczyliśmy, Pan Bóg zwyciężył...“ do Innocentego XI., papieża i Jana Kazimierza Denhoffa, opata mogilnickiego. Ten miał wręczyć papieżowi wielką chorągiew turecką, zdobytą w bitwie. Chorągiew sprawiła wielką radość papieżowi; kazał ją zawiesić w kościele św. Jana Laterańskiego, podobnie, jak Klemens X. zdobytą pod Chocimem. W kościele Najśw. Maryi Panny Zwycięskiej zawiesili królewscy posłowie siedm tureckich chorągiewek i dywan, które jako trofea wojenne Sobieski dla Najśw. Panny przeznaczył.

Z pod Wiednia puścił się Sobieski za cofającymi się Turkami i odniósł nad nimi drugie wielkie zwycięstwo pod Parkanami, na Węgrzech, w dniu 9. października 1863 r. Zdobytą tam chorągiew i pałasz wielkiego Wezyra posłał Sobieski znowu Matce Bożej do Loretu, gdzie jest Jej domek, cudownie przeniesiony z Nazaretu.

Kiedy Kniaziewicz, generał cesarza Napoleona I., wódz polskich legionów, zajął kwaterę na Kapitolu w Rzymie, senat rzymski sprowadził ową chorągiew i pałasz z Loretu i ofiarował je uroczyście polskim wodzom. Dąbrowski, naczelny wódz legionów otrzymał chorągiew, a Kniaziewicz pałasz. Chorągiew została przy legionach, a po śmierci Dąbrowskiego dostała się Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Warszawie, skąd zabrano ją do Petersburga. Pałasz zaś dostał się Czartoryskim, a dziś znajduje się w ich Muzeum w Krakowie.

Szczere wyznawanie króla, iż za przyczyną Maryi odnosi zwycięstwa znalazło wielkie uznanie u Ojca św. Oto w odpowiedzi na list królewski, postanawia, aby święto Imienia Maryi, dawniej gdzieniegdzie jeno obchodzone, w niedzielę oktawy Narodzenia Naśw. Panny, w całem chrześcijaństwie zaprowadzono. Dla uwiecznienia zaś pamiątki oswobodzenia Wiednia, w myśl króla Jana Sobieskiego zmienił Innocenty XI. tytuł kościoła Panny Maryi na forum Trajana na „Kościół Imienia Maryi“ i zaprowadził tam arcybractwo tej samej nazwy. Na pamiątkę złożonych przez Sobieskiego chorągwi kazał papież wybić dwa medale, a wielkiemu wodzowi nadał chlubne miano: „Defensor fidei“ — „Obrońca wiary“.

Za przykładem pobożnego wodza szło wojsko. Cześć Maryi rozbrzmiewała głośno w obozie. A działo się to nietylko w obecności Sobieskiego, ale zawsze. Przykładem tego jest następujący wypadek:

W krwawych zapasach z Turkami, trzydziestu naszych wojowników, odciętych od swej chorągwi, musiało wraz z kapłanem szukać ochrony w jednej skale Karpat, co dzielą Węgry i Wołoszczyznę od Galicyi. Tu ukryci, otoczeni od przemagających sił Turków, długo stawiali dzielny opór. Ale głód i pragnienie, straszniejsze od miecza, zaczęły dokuczać mężnym. Wówczas pobożny kapłan ułożył nową pieśń do Najśw. Maryi Panny, ażeby z tym śpiewem na ustach oddać czystą duszę Bogu.

Nade dniem zabrzmiały odgłosem tej pieśni góry i skały; jej dźwięki spłynęły daleko po rosie i pianie burzliwych potoków górskich; pieśń: „Zawitaj ranna jutrzenko“, wyśpiewana piersią gotowych na śmierć a pobożnych zawsze rycerzy, brzmiała straszną powagą dla pohańców. Zrazu zdziwieni, potem przerażeni, pewni byli Turcy, że oblężonym nadeszły posiłki. Pierzchli więc w nieładzie, a nasi bohaterowie, dzięki owej pieśni, ocaleli.

Taki był wódz i takie wojsko; taki był król i taki naród cały. Najśw. Marya Panna Królową Polską się zwała i wszyscy wiernie swej Królowej służyli. To też w tej służbie stali potężli i pełni chwały, a upadli, gdy w tej świętej służbie oziębli.

Zadanie kobiety podczas wojny i po wojnie.

Kobieta współczesna, zwłaszcza z uboższej sfery, stanęła wskutek wojny przed ogromem pracy i odpowiedzialności. Chodzi tu bowiem już nietylko o zarobek, ale o walkę o byt; i niejedna z nich, która dotąd cicho spełniała obowiązki żony i matki, żyjąc bez troski pod opieką męża, musiała się wyrwać z ciasnego kółka domowych obowiązków, ażeby się zmagać z losem, jaki jej zgotowała wojna.

Dla kobiety katolickiej była to ofiara niemała: z istoty swojej jest ona zawsze konserwatystką i bezwiednie nawet lgnie do dawnego ideału kobiety, zamkniętej w kole obowiązków rodzinnych. Jeżeli litując się nad nędzą bliźniego, spieszyła mu z pomocą, działo się to zawsze tak, żeby lewica nie wiedziała co czyni prawica. Było to potrzebą jej serca; nie prowadziła więc ani rachunków, ani statystyki swoich miłosiernych uczynków; nie dbała ani o uznanie, ani o pochwałę; strona moralna miała zawsze u niej pierwszeństwo, a Wiara św. dawała jej światło, broń i pociechę.

Wojna światowa, ten kamień probierczy pojedynczych dusz i narodów, musiała oddziałać i na kobietę katolicką. I możemy to śmiało powiedzieć, że wobec nędzy powszechnej dała ona dowody, że stała się już dojrzałą, aby zabrać głos w kwestyi kobiecej, wobec nowych dróg i pracy, jakie się dla niej po skończonej wojnie otworzą. W ciągu tych długich miesięcy ofiar i poświęcenia, cierpiała ona w milczeniu, wyrzekając się wszelkich pragnień, wzniosła się ponad wzgląd osobisty i czerpiąc siłę w modlitwie złożyła wszystko na wspólnym ołtarzu społeczeństwa. Ta gotowość ofiary i niesienia pomocy biedniejszym stała się nowym węzłem wśród kobiet wszelkiego stanu i zawodu,

a prawdziwa miłość bliźniego i poznanie w tym kierunku swojego obowiązku wpłynęły dodatnio na biedniejszą klasę kobiet, bo nieraz dobra i życzliwa rada, kilka słów w danej chwili, były im taką dźwignią, że ta pomoc, nie dająca się ująć w cyfry, okazała się niemal potrzebniejszą od pomocy materyalnej. Z drugiej strony karność i ład wojskowy prawie, któremu musiała się poddać nawet w ciasnem kółku rodzinnem, stanowią jej dorobek wojenny, obfity w piękne na przyszłość owoce.

Wojna rzuciła jaskrawe światło na kwestyę kobiecą, otwierając oczy tym, którzy jej widzieć i uznać nie chcieli. Częścią z potrzeby osobistej, częścią, aby zastąpić brak sił męskich została ona wciągnięta w świat zarobku. W wielkich miastach prędko się oswojono z nowym stanem rzeczy: dziś już nikogo nie razi, że kobieta stoi przy ciężkich i skomplikowanych maszynach i każdy z góry już jest przygotowany na konkurencyę, jaka stąd wyniknie. Tem silniej jednak stanąć jej trzeba na straży domowego ogniska, bo na cóż się zdadzą nowe zdobycze i prawa w dziedzinie życia publicznego jeżeli ich kosztem upadnie rodzina i wychowanie dzieci.

Rodzina stanowi podwalinę społeczeństwa. Kobieta zatem musi być przedewszystkiem dobrą żoną i matką; co matka zasieje w sercu dziecka, to życie może wprawdzie przytłumić i osłabić, ale wyrwać nigdy nie zdoła. Musi być dalej dobrą gospodynią, zwłaszcza w czasach dzisiejszej drożyzny; ta, która nie zna się na domowem gospodarstwie lub nieudolnie je prowadzi, nie stanie się nigdy ogniwem łączącem rodzinę. Jeżeli walka przeciw nierozerwalności małżeństwa nie zastanie kobiety na stanowisku, sama sobie wyrządzi największą krzywdę, bo z tym mieczem Damoklesa nad głową będzie zawsze zdana na łaskę i niełaskę męża.

Z drugiej jednak strony nie wolno jej zapominać, że jest członkiem wielkiej chrześcijańskiej rodziny, i że tak Kościół, jak i Ojczyzna zaznaczają wyraźnie kierunek jej pracy w społeczeństwie. Kobieta katolicka była pod tym względem zbyt może skromną i zbyt liczyła na to, że prawa kobiety same sobie zapewnią egzystencyę. Stąd zapewne mniejszość niekatolicka wzięła górę nad niemi, bo już przed dwoma laty powiedział demokrata Bebel: „Zwycięstwo po tej stronie, po której stoi kobieta“. Dotychczasowe doświadczenia powinny być dostateczną pobudką do utworzenia silnego Związku Kobiet katolickich, któryby ogarniając wszelkie zawody i prace, niewyjmując pokojówki i wyrobnicy, skupił w swem ręku całą działalność dzisiejszej kobiety, bo tylko kobieta o silnych zasadach katolickich, może zająć z moralną korzyścią społeczeństwa stanowisko lekarza, opiekuna, urzędnika, inspektora itp.

Dzięki Bogu w większych miastach powstały już takie Związki. I w Krakowie istnieje już od kilku lat „Związek niewiast katolickich“ i rozwija dobroczynną działalność.

Obok tego Związku powstają Związki młodzieży katolickiej (żeńskiej), w których jednoczy się i skupia młodzież żeńska, a zwłaszcza dziewczęta pracujące.

Wojna nas nauczyła, co może spójnia! Kobiety katolickie stanowią potęgę, której nic nie zdoła zwyciężyć, jeżeli stanie na gruncie katolickim; tylko takie rozwiązanie kwestyi kobiecej, zapewni jej prawa, o które dzisiaj walczy i przyniesie chlubę Kościołowi i Ojczyźnie.

Ceremonie przy święceniach kapłańskich.

Przywdziawszy swój strój arcykapłański Biskup rozpoczyna Mszę św., a przyszli księża tymczasem w skupieniu klęczą przed ołtarzem. Biskup Mszę św. odprawia teraz nie odrazu do końca, lecz prawie po Lekcyi czyli Epistole przestaje na razie odprawiać i przerywa Mszę święta. Mianowicie podają mu tam przed samym ołtarzem na najwyższym stopniu taki mały tron, nazwany po łacinie faldistorium, wkładają mu na głowę infułę, czyli mitrę biskupią, a on siada na tym tronie twarzą do ludu. Wtedy jeden z kapłanów asystujących mu jako t. zw. archidyakon (ma na sobie kapę) zwiastuje po łacinie ostrzeżenie, przepisane przez prawo kościelne. Mówi on co następuje:

Najprzewielebniejszy w Chrystusie Ojciec i Pan. N. (tu wymienia imię Biskupa, który ma święcić dzisiaj), z łaski Bożej i Stolicy Apostolskiej Biskup N. (n. p. krakowski), nakazuje i poleca wszystkim i każdemu z osobna, którzy tu są obecni i mają przyjąć święcenia, żeby żaden z nich nie odważył się przystąpić tu do święceń, jeśliby był skrępowany jakiemi przeszkodami ustawowemi (archidyakon wymienia tu poszczególne przepisy prawa kościelnego). I niech też nikt nie odchodzi aż dopiero po Mszy świętej i po błogosławieństwie biskupiem.

Jeśli w tej sprawie wszystko jest w porządku, wtedy archidyakon głośno czyta imię i nazwisko oraz imię ojca każdego z mających przyjąć święcenia, a każdy z nich odpowiada po łacinie „Adsum“, t. j. „Jestem“. Mówi więc archidyakon:

„Niech przystąpią, którzy mają być wyświęceni na kapłanów“ (teraz czyta ich po nazwisku).

Kiedy wszyscy odpowiedzieli „Adsum“, ustawiają się przed Biskupem w półkole, albo jak wygodniej. Teraz archidyakon przedstawia ich Biskupowi i mówi po łacinie:

„Ojcze Najprzewielebniejszy! Matka święta, Kościół katolicki żąda, byście tych tu obecnych dyakonów wyświęcili na kapłanów“.

Biskup zapytuje go po łacinie:

„Czy wiesz, że są godni?“

Na to odpowiada archidyakon po łacinie:

„O ile ułomność ludzka wiedzieć pozwala, wiem i świadczę, że są godni tego trudnego urzędu“.

Biskup mówi:

„Bogu dzięki!“

Następnie Biskup taką ma przemowę (po łacinie) do duchowieństwa i wiernych:

„Bracia Najmilsi! Żeglarz i ci, którzy są na okręcie, zawsze wspólny dzielą los, czy to okręt spokojnie płynie, czy też niebezpieczeństwo grozi wszystkim; we wspólnych sprawach trzeba być wspólnej myśli.

To też słusznie oddawna panuje ten zwyczaj, żeby się pytano także o zdanie ludu, gdy chodzi o wybór przyszłych sług ołtarza. Bo może ten lub ów z pośród was o życiu i prowadzeniu się ich wie coś takiego, co publicznie jest nieznane. Także dlatego jest to potrzebne, ponieważ łatwiej być posłusznym takiemu, na którego wyświęcenie ktoś sam się zgodził.

Życie tych dyakonów, którzy z pomocą Bożą mają być wyświęceni na kapłanów, jak się mi zdaje, jest wprawdzie chwalebne i Bogu miłe, oraz, jak sądzę, godne tej wyższej godności kościelnej.

Ale jeden lub kilku może się mylić w swojem zdaniu lub też powodować uczuciem, i dlatego należy zapytać więcej ludzi o ich zdanie.

Dlatego powiedzcie otwarcie, co wiecie o ich postępkach lub obyczajach i co myślicie o ich godności, a gdy świadczyć będziecie o tych przyszłych kapłanach, nie kierujcie się własnem uczuciem, lecz tem, co słuszne i sprawiedliwe. Jeśli tedy ktoś ma co przeciwko nim, dla Boga i przez Boga, niech śmiało wystąpi i powie; wszelako niech się zastanowi nad tem, co czyni".

Dziś Biskup nabiera pewności o prowadzeniu się przyszłych kapłanów w inny sposób, aniżeli dawniej, bo ich sobie wychowuje u swego boku i pod okiem swojem w osobnych Seminaryach.

Po tych słowach Biskup czeka przez małą chwilkę w milczeniu, a potem tak dalej mówi do dyakonów:

„Synowie Najmilsi! Macie oto być wyświęceni na kapłanów. Starajcież się tedy, byście urząd ten godnie przyjęli, a potem chwalebnie sprawowali. Kapłan bowiem ma ofiarować, błogosławić, głosić słowo Boże i chrzcić.

Tak wielką godność można wziąć na siebie tylko z wielką bojaźnią i trzeba dbać o to, by do niej wybrani zalecali się niebieską mądrością, obyczajami chwalebnymi i przestrzeganiem sprawiedliwości od dawna.

To też pan, nakazując Mojżeszowi, by sobie wybrał do pomocy siedmdziesięciu mężów z całego Izraela, którymby udzielił darów Ducha świętego, polecił mu: „Wybierz takich, o których wiesz, że są najpoważniejsi z pośród ludu".

Otóż wy będziecie należeć do tych siedmdziesięciu doświadczonych mężów, jeśli będziecie stać na straży dziesięciorga przykazań Bożych przez siedm darów Ducha świętego, i jeśli będziecie doświadczeni i dojrzali tak w mądrości, jak i w uczynkach. Tosamo chciał wyrazić i pokazać Pan w Nowym Testamencie, gdy wybrał siedmdziesięciu dwóch i wysłał ich po dwóch na opowiadanie słowa Bożego; chciał nam słowem i czynem dać naukę, że słudzy Kościoła Jego winni być doskonałymi w wierze i w uczynkach, czyli utrwaleni w podwójnej miłości, to jest Boga i bliźniego.

O to dbać powinniście, abyście byli godni zostać z łaską Bożą pomocnikami Mojżesza i Apostołów, to jest Biskupów katolickich (tych bowiem oznaczają Mojżesz i Apostołowie).

Zaiste, dziwnie różnorakie jest kierownictwo w Kościele świętym, który stąd ma wiele ozdoby: wyświęca on na rozmaite stopnie i urzędy, jednych na biskupów, innych znowu na niższy od biskupiego urząd kapłanów, dyakonów i subdyakonów. Z tych wielu członków o rozmaitej godności składa się jedno Ciało Chrystusowe.

Synowie Najmilsi! Skoro tedy zdaniem braci waszych macie być wyświęceni na pomocników naszych, zachowajcież w postępowaniu swojem doskonałość życia czystego i świętego. Rozważcie, co czynicie, postępujcie tak, jak tego wymaga powołanie wasze; sprawując tedy tajemnicę śmierci Pańskie, umartwiajcie w sobie wady i pożądliwości wszelakie. Niech nauczanie wasze będzie lekarstwem duchownem dla ludu Bożego, wdzięczna woń waszego postępowania niech będzie radością Kościoła Chrystusowego, abyście nauczaniem i przykładem swoim budowali dom, to jest rodzinę Bożą. I tak ani nas za to, żeśmy was przyjęli na kapłanów, ani was za to, żeście tak wielki obowiązek na siebie wzięli, niech Pan nie potępi, lecz owszem nagrodzi. To niech nam On da przez łaskę Swoją. Amen.

Po tej przemowie Biskup z mitrą na głowie pada na kolana na najwyższym stopniu w środku ołtarza, a dyakoni kładą się krzyżem na ziemię i zaczyna się Litania do Wszystkich Świętych. Kościół św., zanim udzieli tego tak wielkiego Sakramentu kapłaństwa, zwraca się w modlitwie do Boga w Trójcy św. jedynego i do całego dworu niebieskiego z prośbą o pomoc i łaski.

Jest to przy tych święceniach chwila bardzo rzewna, gdy się widzi Biskupa klęczącego w gorącej modlitwie, a młodych dyakonów leżących krzyżem na ziemi i pogrążonych w żarliwej modlitwie. Co się teraz w tych duszach dzieje?

Odmawiajże i ty, tę tak wzniosłą modlitwę Kościoła Bożego i proś co roku za Biskupa święcącego, oraz za dyakonów, aby Duch święty uczynił ich kapłanami według Serca Jezusowego, aby spełnili te polecenia, które od Biskupa słyszeli.

O naszych odpustach.

Grzesznikowi, czyniącemu pokutę, odpuszczają się wprawdzie kary wieczne, ale nie zawsze i nie wszystkie kary doczesne. Te odpokutować musi grzesznik albo tu na ziemi przez choroby, nieszczęścia, pokusy, prześladowania, dobrowolne uczynki pokutne itp., albo po śmierci w ogniu czyśćcowym.

Kościół katolicki, a w szczególności Ojciec św., otrzymał od Pana Jezusa władzę, pozostałe po pojednaniu się grzesznika z Bogiem doczesne kary za grzechy zamieniać na uczynki pokutne, albo zupełnie je odpuszczać, czyli udzielać odpustów.

Do uzyskania odpustu zupełnego dawniej wymagane były cięższe uczynki pokutne. Dzisiaj zaś, kto pragnie uzyskać odpust, musi zazwyczaj odprawić spowiedź i przyjąć Komunię św., wejść do kościoła i pomodlić się w intencyach zalecanych przez Kościół, lub wykonać jeszcze jakiś szczególniejszy dobry uczynek.

Zyskiwanie odpustów jest rzeczą bardzo ważną i pożyteczną, ponieważ przez to oddalamy od siebie wiele nieszczęść ziemskich i skracamy sobie kary czyśćcowe.

Przez odpusty oddalamy od siebie choroby, nieszczęścia, pokusy i t. p. Jeśli nie jednamy sobie odpustów, to z konieczności dotykają nas doczesne kary za grzechy. Kto nie troszczy się o zyskanie odpustów, podobnym jest do wędrowca, któryby mógłby dojść do celu łatwą i krótką drogą, a jednak wybiera długą, uciążliwą drogę; człowiek taki postępuje bardzo nieroztropnie i jest sam sobie nieprzyjacielem.

Olbrzymi a dobroczynny wpływ odpustów pod względem moralnym i religijnym zmuszeni byli uznać najwięksi zagorzalcy wolnomyślni; d'Alembert powiada o jubileuszu w r. 1775, iż tenże opóźnił wybuch rewolucyi o 20 lat; a Wolter powiada: „Jeszcze jeden taki jubileusz, a cała filozofia weźmie w łeb".

Odpusty są więc wielkiem dobrodziejstwem dla wiernych.

Ale czy ludzie umieją cenić to dobrodziejstwo? Niestety, wielu ludzi nadużywa odpustów, a wielu je sobie lekceważy.

Do takich, którzy nadużywają odpustów, trzeba zaliczyć tych, którzy odpust uważają za jakiś jarmark, a nie za święto kościelne. Tacy jadą lub idą na odpust, ażeby kupować lub sprzedawać różne rzeczy. Dlatego na odpustach dzieje się wiele obrazy Boskiej, bo wielu ludzi nie wysłucha nawet Mszy św., a zato dzieje się wiele kradzieży, oszukaństwa, pijaństwa, bitek i kłótni, słychać wiele krzyków i hałasów. Oto straszne nadużycie odpustów. To być nie powinno!

Inni ludzi znowu **lekceważą sobie odpust.** Wprawdzie nie używają tego dnia na obrazę Boską, ale też nie spieszą się z wykonaniem warunków potrzebnych do dostąpienia odpustu. Najczęściej zatem biorą udział w nabożeństwie parafialnem i wracają do domu. To jest lekceważenie sobie odpustu. Tak być też nie powinno!

Pobożny i gorliwy parafianin powinien w dzień odpustowy wyspowiadać się, przyjąć Komunię św., pomodlić się za Kościół św. Ale zwracamy na to uwagę, że w sam dzień odpustowy przychodzi zazwyczaj za dużo ludzi do spowiedzi,, tak, że nie mogą się wszyscy wyspowiadać, albo muszą za długo na czczo czekać. Najporadniejszą zatem byłoby rzeczą, ażeby parafianie odprawili spowiedź dzień przedtem, ażeby poprosili księdza proboszcza, by **na wigilię odpustu zaprosił jednego lub więcej spowiedników** do słuchania spowiedzi. Wtenczas większość parafian łatwo się wyspowiada, a w sam dzień odpustowy przyjmie Komunię św. Nadto w sam dzień odpustowy łatwiej dostaną się do spowiedzi obcy, którzy z okolicy przychodzą na odpust.

Nadto paradną jest rzeczą, ażeby w wigilię odpustu spowiedały się kobiety, dziewczęta i dzieci, bo im łatwej uwolnić się od zajęć, a w samo święto odpustowe niech przystępują do spowiedzi przedewszystkiem mężczyźni, bo oni są bardziej zajęci pracą w dzień powszedni, aniżeli kobiety. Niestety można nieraz widzieć, jak kobiety z obydwu stron otoczą konfesyonał i nie dopuszczą żadnego mężczyzny do spowiedzi, tak, że niejeden miał nawet szczery zamiar się wyspowiadać, lecz, niestety, z niczem powraca do domu. A przecież nieraz stokroć bardziej jest potrzebna spowiedź niejednemu mężczyźnie, aniżeli tej lub owej niewieście. Na tę rzecz powinni zwracać baczną uwagę księża proboszczowie i sami spowiednicy, to jest **ułatwiać na odpustach spowiedź mężczyznom.**

Drodzy czytelnicy! Wypowiedzieliśmy na tem miejscu kilka uwag, bo teraz czas odpustów. Starajcie się zatem, ażeby one odbywały się po Bożemu i przyniosły pożytek waszym duszom.

Heroizm kapłana.

Cały świat katolicki zna i czci świętego Jana Nepomucena, który będąc kanonikiem praskim, we wilię Wniebowstąpienia Pańskiego dnia 16. maja 1393 poniósł śmierć męczeńską, dlatego, że okrutnemu królowi Wacławowi nie chciał wyjawić tego, z czego się jego pobożna i cnotliwa małżonka Joanna spowiadała. W dzikiej zapalczywości kazał go król swym oprawcom męczyć i do rzeki Weltawy wrzucić. Od tego czasu czczony jest św. Jan Nepomucen w katolickim Kościele jako „męczennik sekretu spowiedzi". Gdy w r. 1729, a zatem po 336 latach grób świętego męczennika otworzono, znalazła komisya lekarska zwłoki jego bez ciała, kości po większej części nie zepsute wyjąwszy rany, które mu na głowie i na barkach zrzucenie do Weltawy zadało, język zaś był całkiem świeży i dobrze zachowany, tak, jakgdyby św. Jan dopieroco umarł.

Podobną, bardzo zajmującą historyę o zachowaniu sekretu spowiedzi opowiemy naszym czytelnikom. Wszystkie szczegóły są najzupełniej prawdziwe. Oto są słowa kapłana, który tę historyę nam opowiada:

Moja rodzina pochodziła ze starej szlachty, ale była uboga, jak wszystkie rodziny irladzkie, co wierne zostały swej wierze katolickiej i miecza nie chciały zamienić na łokieć, aby sobie przez handel te straty powetować, które w wielkiem powstaniu odniosły. Ojciec mój umarł jako podpułkownik w służbie francuskiej, a matka wychowywała nas z miernej pensyi, którą jako wdowa pobierała. Starszy mój brat miał zostać oficerem, mnie zaś, jako młodszego, posłano do St. Omer. Roku 1790. wyświęcony zostałem na kapłana, a wkrótce potem posłano mnie jako wikaryusza do jednej z licznych parafii Dublina, gdzie wszyscy byli z mej gorliwej pracy zadowoleni.

Po upływie jednego roku przybył mój brat, który wtenczas był kapitanem, do Dublina, aby przez pół roku u nas na urlopie zabawić. Ale skoro ten urlop minął, nie chciała moja matka, aby wrócił do swej chorągwi, z powodu smutnego obrotu, jaki rzeczy wzięły we Francyi, mianowicie co do obcych oficerów; zniewoliła go do tego, aby wziął abszyd. I ta okoliczność wszystkich nas w nieszczęście wtrąciła.

Brat mój, dotąd przywykły do życia bardzo czynnego, a nadto karnością i szacunkiem dla swego stopnia wojskowego w karbach trzymany, próby nieczynności wytrzymać nie zdołał. Nie będąc w gruncie złym człowiekiem, czynił jednak wszystko, co go osławić mogło. Uczęszczał do klubów i winiarni, palił od rana do wieczora, robił długi, wszczynał sprzeczki i do tego wkońcu doprowadził, że wszyscy prawie się go bali, a mało kto go lubił.

Matka moja, którą miłość zaślepiała, nie spostrzegła tej zmiany; ale gdy się już łudzić nie mogła, bardzo się tem zasmuciła. Powtarzam, że mój brat w gruncie nie był złym człowiekiem, przeciwnie — pomimo hulaszczego życia był prawym i zacnym, i najlepszego w świecie serca. Sądziliśmy, że go na prawą drogę zwrócimy, jeżli nam się uda go ożenić. Zgodził się na to i obiecał wszystko uczynić, czegośmy od niego żądali. Zwróciliśmy oczy nasze na córkę kupca, która łączyła w sobie z dobrem wychowaniem, pięknością i majątkiem wyborne przymioty serca.

Wszystko tedy szło dobrze i zdawało się, że wkrótce ślub się odbędzie. Mój brat kochał swą narzeczoną i był o nią zazdrosny. Pewien młody człowiek, mieszczanin, prosił o rękę córki kupca i byłby ją otrzymał, gdyby mój brat nie był się oświadczył. Wskutek tego powstała nienawiść między bratem a owym mieszczaninem, która wszystkim była wiadoma; już nieraz szukali zaczepki i zdawało się, że przyjdzie do pojedynku. Jednego tedy wieczora, gdy się bardziej, jak zwykle, posprzeczali, opuścili klub najprzód mieszczanin, a w kilka minut potem mój brat.

Dwie godziny później znaleziono na jednem z przedmieść trupa owego mieszczanina z piersiami nawskróś przeszytemi, a mieczem w pochwie schowanym, co było dowodem, że pojedynku być nie mogło. Ponieważ nadto miał przy sobie dwa zegarki i sakiewkę z pieniądzmi, choć odzież była na nim podarta, nie można było przypuścić, że ktoś go w celu kradzieży zamordował. Widziano więc w tej zbrodni tylko czyn zemsty, a że nie znano innego wroga jego jak tylko mego brata, więc go zaraz aresztowano. Dziwnym i niepojętym trafem miał miecz mego brata koniec odłamany, a on nie umiał tej okoliczności wytłumaczyć i twierdził, że nic a nic o tem nie wiedział.

Oskarżono go tedy o morderstwo; komisya znawców osądziła, że oskarżenie jest dostatecznie uzasadnione i nie chciała go za kaucyą wypuścić, wsadzono go więc do więzienia, aby oczekiwał najbliższego posiedzenia

przysięgłych, które dopiero za dwa miesiące odbyć się miało.

Pozory tak przemawiały przeciw memu bratu, że ja sam byłbym go zasądził, gdybym był sędzią. Tylko matka moja nie mogła go uznać winnym; i choć była zasmucona, jednak nie doznawała zrazu wielkiego niepokoju co do wyniku procesu. Ja tymczasem odwiedzałem mego brata co dzień w więzieniu i wszelkiemi sposobami starałem się wydobyć z niego wyznanie zbrodni, gdyżem się spodziewał, że się znajdą okoliczności, które mi pomogą przynajmniej życie mu ocalić. Z początku oburzał się mocno na takie bezwstydne oszczerstwa, ale im więcej zbliżał się czas sądu, tem okazywał się łagodniejszym i odważniejszym: mowa jego była poważna i pełna godności, więcej się też zajmował czytaniem Pisma św., jak przygotowaniem obrony. Mówił do mnie:

— Błędy moje były ciężkie i liczne, ale Pan Bóg nie będzie żądał za nie odemnie liczby w przyszłem życiu, gdyż opuszczę tę ziemię jako zabójca w oczach ludzkich, choć tej zbrodni nie popełniłem. Bóg surowo ze mną się obchodzi, odbierając mi honor, który pomimo mych nieporządków zawsze nieskalanie zachować się starałem.

Nie wiedziałem co mam sądzić. Gdy z nim rozmawiałem, podziwiałem go. Zdawało mi się, że to niepodobna, aby on był winnym; a gdy sam na sam ze sobą byłem, zdawało mi się, że brat mój prócz tego jest obłudnikiem, i obawiałem się, aby z ciałem i duszy swej nie stracił.

W wielki piątek wieczór miałem kazanie pasyjne. Byłem wymowny, bo byłem głęboko poruszony; prawie wszyscy słuchacze płakali, bo ja sam łzy wylewałem. Po godzinnem wypoczynku poszedłem do konfesyonału. Już późno w noc wyszedłem z konfesyonału bardzo znużony i powracałem do zakrystyi. Wtem chwycił mnie jakiś człowiek, który klęczał za filarem, za komżę, i błagał mnie usilnie, bym jeszcze i jego spowiedzi wysłuchał. Powiedziałem mu, że jestem okropnie zmęczony; aby do jutra zaczekał, albo do innego spowiednika się udał. Odpowiedział, że będąc obcym, nie zna innego, że do mnie ma zaufanie, gdyż go mem kazaniem poruszyłem, że nie może do jutra wytrzymać, bo jest większym grzesznikiem jak wszyscy moi penitenci razem. Na taką mowę nie ociągałem się dłużej, i wróciłem do konfesyonału. Był to chrześcijanin i katolik, jakimi są opryszki z Kalabryi. Między innemi wyznał, że popełnił morderstwo. Ja podwoiłem mą uwagę. Mówił, że miał posadę przy banku w Dublinie, w którym sprzedają się losy do królewskiej loteryi w Londynie.

— Jeden taki los — ciągnął dalej — którego numer dobrze sobie spamiętałem, jednemu młodemu znajomemu wydałem. On go niedbale zwinąwszy, włożył do kamizelki. Kilka dni temu przyszła późno wieczór lista numerów wyciągniętych, z której poznałem, że ów numer o którym mówiłem, wygrał 2000 funtów szterlingów (przeszło 40.000 reńskich). Ponieważ lista dopiero nazajutrz mogła być ogłoszona, wyszedłem na odległą ulicę i wiedząc, gdzie ów młody pan bywa, czatowałem nań, gdy będzie powracał; zamordowałem go i wyjąłem mu bilet i kazałem go zanieść natychmiast do banku po wydanie wygranej pod pozorem, że wygrana należy do osoby, która niechce być znaną.

Wypytawszy go o bliższe szczegóły czasu, godziny i miejsca zbrodni, dowiedziałem się, że zamordowanym był nie kto inny, jak nieprzyjaciel i rywal mego brata. Co mi się działo, niech każdy sobie wyobrazi! Pierwszem uczuciem moim było podziękowanie Panu Bogu; ale gdy mi myśl o moim obowiązku kapłańskim przyszła, uczułem nagle okropność mego położenia, krzyknąłem głośno i straciłem przytomność.

Gdy znowu do siebie przyszedłem, już nie byłem w konfesyonale, lecz leżałem na kolanach mego penitenta, który jedną ręką trzymał mnie za głowę, a drugą podawał mi jakieś krople orzeźwiające. Byliśmy zupełnie sam na sam w starym kościele, w którym całkowite panowały ciemności. Podniosłem me oczy do niego i wyjąkłem te słowa:

— Nieszczęsny człowiecze, wiesz ty, że mego brata o to morderstwo posądzają?

— Jakto? więc ksiądz jesteś bratem kapitana Fitz-Grahama?

— Tak jest, i synem jego staruszki matki, rozumiesz?

— O mój Boże, a ja się u księdza z tego mordu spowiadałem. Czy mnie ksiądz zdradzi? Czy mnie ksiądz doniesie do rządu? Spowiedź jest święta!

— Aż nadto dobrze wiem o tem. Ależ ja nie mogę dozwolić, aby mój niewinny brat zginął na szafocie!

— Tem gorzej! Ja umrzeć nie chcę, osobliwie teraz, kiedym bogaty! Czekaj ksiądz! Tam w kaplicy jest grób Chrystusa. Proszę mi przysiądz na świętą Hostyę, że ksiądz mej spowiedzi nie wyjawi! Jeżli nie!...

— Już rok minął, jakem przysięgę moją jako kapłan przed Bogiem złożył. Tobie nie mam obowiązku przysięgać i nie przysięgnę!

Konwulsyjnie położył prawą rękę na rękaw mej sukni, ale ja się uwolniłem i tak go ścisnąłem obiema rękami, że mógł uczuć, iż jestem silniejszy jak on. Wtenczas zaczął drżeć i płakać, ja go zaś ku drzwiom kościoła odsunąłem i rzekłem mu:

— Rozkazuję ci w imię Trójcy świętej, abyś na mnie jutro wieczór o tym samym czasie, na tem samem miejscu czekał; ja tymczasem pomyślę, co mam czynić, abym obowiązek mój jako brata z obowiązkiem kapłana mógł pogodzić. W każdym razie bez przeszkody będziesz mógł przyjść i wyjść stąd.

Tej nocy spać nie mogłem, tylko rozmyślałem, co mam czynić. Były dwie drogi: albo zdradzić tajemnicę spowiedzi, albo dozwolić, aby mój niewinny brat umarł na szafocie. Nazajutrz napisałem do arcybiskupa, prosząc o radę i rozumie się, nie wymieniając osoby mordercy. Arcybiskup zaraz 10 kwietnia odpisał mi słowy św. Bernarda:

„Jeżli kapłan w konfesyonale się dowie, że nań w tym a tym dniu, na tem a na tem miejscu czatują mordercy, to jednak musi w tym dniu na to miejsce się udać, jeżli miał zamiar albo zwyczaj tamtędy przechodzić" — a potem dalej tak pisał: „Ta nauka jest nauką całego Kościoła. A dlaczego? Bo kapłan, skoro wyjdzie z konfesyonału, powinien o ile mu na to słabość ludzka pozwala, wszystko aż do najmniejszego słówka zapomnieć. Tem mniej jest mu dozwolonem, używać wiadomości ze spowiedzi na szkodę tego, który mu zaufał, pod jakimkolwiek pozorem lub w jakimkolwiek razie". Arcybiskup poradził mi następnie, abym penitentowi przedstawił, że ma podwójny obowiązek: raz nie dozwolić, aby niewinny umarł, gdyż w ten sposób drugie morderstwo popełni; powtóre: jawnie wobec świadków albo na piśmie wyznać swą winę, aby w ten sposób mój brat ocalony został; ale że wszystko to ma penitent dobrowolnie i nie przymuszenie uczynić. „Gdyby jednak człowiek ten wzbraniał się, wtenczas mój kochany synu, obowiązek twój będzie ciężki i bolesny, ale niewątpliwy: musisz modlić się i milczeć. Możesz ksiądz wobec matki powiedzieć, iż jesteś przekonany o niewinności brata, ale strzeż się ksiądz choć jednem słówkiem lub gestem sprawić, aby

się domyśliła, że ksiądz znasz właściwego sprawcę: bo powtarzam ci synu, pierwszym obowiązkiem spowiednika jest milczeć. Największą zbrodnią kapłana byłoby temu obowiązkowi stać się niewiernym: „Niech milczy, choćby miał umrzeć. Miej odwagę i ufaj.“

Tak do mnie pisał mój arcypasterz ks. Hieronim z Dublina.

Czytałem ten list raz i drugi i powziąłem postanowienie zastosować się doń jak do woli Bożej. Przyszedłszy do brata zawołałem:

— Mój bracie, mój biedny bracie! przebacz mi, że mogłem wątpić o prawdzie twych słów. Ty jesteś niewinny, ja wiem, słyszysz mój bracie, ja wiem, żeś ty niewinny!

— Chwała Bogu! — odrzekł i zaczął płakać jak dziecko. — Chwała Bogu! — powtórzył — ale jakżeś się dowiedział o mej niewinności? Kiedy mnie wypuszczą?

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć i żałowałem, żem przez moje nieroztropne wyrazy wzbudził w nim nadzieję, którą później sam zniszczyć musiałem. Do domu nie śmiałem wracać, bojąc się, żeby mnie z matką ten sam kłopot nie spotkał, co z bratem. Największą część dnia przepędziłem w kościele, i chodziłem po ulicach, aż przyszedł czas mojego spotkania się z mordercą. Już więcej, jak pół godziny czekałem sam przed konfesyonałem, i zacząłem się obawiać, że zbrodniarz się nie pokaże, gdym go ujrzał niepewnym krokiem zbliżającego się ku mnie. Oglądał się na wszystkie strony, obawiając się wpaść w pułapkę. Zawołałem go; stanął — ujrzałem jak skrył pod płaszcz broń, którą trzymał w ręku. Skoro się upewnił, że sam jestem, chciał uklęknąć przed konfesyonałem, ale mu wzbroniłem, mówiąc:

— Chodź pan do mego domu, tam dłużej i bez przeszkody będziem mogli pomówić.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Wolałbym przy konfesyonale — rzekł — konfesyonał ma więcej świętości.

— Kapłan jest wszędzie kapłanem; gdybym pana chciał zdradzić, byłbyś pan już schwytany.

— Ale ksiądz masz brata ocalić.

— To prawda, ale mam także duszę, którą mogę stracić.

On na mnie ostro spojrzał — zdawało się, że się jeszcze waha, ale wziął mnie za ramię i wyszliśmy z kościoła. Na ulicy ani słówka nie mówiliśmy ze sobą. Przyszedłszy do domu, usiedliśmy przy kominku naprzeciwko siebie. Zacząłem mówić o moim bracie i jak to jest rzecz straszna widzieć, jak niewinny umiera na szafocie. On mi odpowiedział, że to istotnie rzecz bardzo smutna, ale że inaczej być nie może, gdyż on sam w żaden sposób umierać nie chce. Przedstawiłem mu w jaskrawych kolorach zgryzotę i boleść naszej staruszki matki — on pozostał nieczułym; człowiek ten miał dwa popędy: łakomstwo i zachowanie siebie przy życiu. Mówiłem mu o piekle i strasznym rachunku, jaki kiedyś będzie musiał oddać; był wzruszony, płakał, szlochał i dawał mi sto, dwieście, trzysta funtów szterlingów, abym mu udzielił rozgrzeszenia!

Nawet nie starałem się go namówić, aby się sam oddał w ręce sprawiedliwości, lecz oświadczyłem mu, że jest środek ocalenia mego brata bez narażenia się na utratę osobistego bezpieczeństwa. Mówiłem mu, żeby się udał za granicę i zostawił oświadczenie pisemne przez dwu świadków stwierdzone, że on jest sprawcą tej zbrodni i aby podał takie szczegóły, któreby sędziów przekonać mogły. Nic! Człowiek ten niczemu i nikomu nie dowierzał. Bał się, by go świadkowie nie zdradzili, nim on zagranicę wyjedzie. Zresztą nie miał wcale ochoty wyjeżdżać z kraju, kiedy został bogatym. Była chwila, w której zapomniałem na święty charakter kapłański. Znużony daremnemi usiłowaniami, ośmieliłem się powiedzieć mu, że ja mógłbym go sam wydać w ręce władzy, gdyby się nie zgodził na uwolnienie brata. Wtem on wyjął sztylet — alem mu go wyrwał, jak dziecku i wyrzuciłem go przez okno na ulicę; ale potem zawstydzony, żem takiego środka użył, rzuciłem się do nóg tego człowieka, oblałem je łzami i błagałem o przebaczenie. Nic — zgoła nic! Człowiek ten nie miał serca; był on jak dzikie zwierzę, tylko bez jego odwagi i siły!

Gdy dzień nastał, wyprowadziłem go znów na ulicę. Potem w odzieży rzuciłem się na łóżko; byłem zupełnie wyniszczony, bo już dwie doby nie spałem. Zasnąłem snem twardym. Gdym się obudził, stała matka blada i ciężko oddychając nad mojem łóżkiem. Domyślałem się, żem we śnie mówił i drżałem na myśl, że tajemnicę zdradziłem. Ale Bogu dzięki tak nie było. Mówiłem tylko we śnie, że wiem o niewinności mego brata, rozmawiałem też z prawdziwym mordercą jego rywala, ale nie mówiłem nic, z jakiego źródła zaczerpnąłem tę pewność, kto jest winowajcą, gdzie i w jaki sposób go poznałem. Matka zadawała mi więc pytania, na które nie mogłem i nie powinienem był odpowiadać. Zgniewana mojem milczeniem, to czyniła mi gorzkie wyrzuty, to targała sobie włosy na głowie, to znów padała na ziemię i błagała mnie ze łzami, bym jej oddał ukochanego syna.

Na szczęście wszedł arcybiskup, a matka zostawiła nas samych. Opowiedziałem mu wszystko, co od owego wieczora zaszło; słuchał mnie ze łzami w oczach, i dodał mi otuchy i pociechy obfitej, mówiąc:

— Bez wątpienia ma Bóg wielkie z tobą zamiary, mój drogi synu, kiedy ci w młodym wieku zsyła próbę, która może w historyi niema równej sobie.

Gdy potem moją rękę trzymał w swojej, nagle zawołał:

— Bogu dzięki mój synu, masz gorączkę! Bóg, który umie ocenić wielkość twej ofiary, zsyła na cię tę chorobę ciała, by ci na niejaki czas oszczędzić katuszy serca! Od tej chwili nie jesteś odpowiedzialny za słowa, które ci się w gorączce wyrwać mogą, ale żeś mnie swą tajemnicę powierzył, a sam nad sobą czuwać nie możesz, to biskup twój weźmie to staranie na siebie! I rzeczywiście przez ośm dni, w których miałem gorączkę silną i majaczyłem, biskup ani we dnie, ani w nocy nie odstępował od mego łoża i nikomu, ani matce mej nie pozwalał do mnie wchodzić. Gdy znowu odzyskałem przytomność, tak byłem osłabiony, że nawet sił do cierpienia nie miałem. Nareszcie przyszedł nieszczęsny dzień stracenia! Brat mój został powieszony, tak jest, powieszony! Odebrano mu szlachectwo, okuto w kajdany i powieszono! Kat przed straceniem w jego oczach złamał jego miecz i podarł nasz herb!

Ja zaś wraz z biskupem cały dzień klęcząc, modliłem się za konających. Nieraz krzyk tłumów i bicie w bębny przerywały nasze modlitwy, bo do tego stracenia wiele wojska sprowadzono. Chrześcijańskie poddanie się brata i nieraz powtarzane zapewnienia, że umiera niewinnie, licznych mu zjednały przyjaciół i obawiano się powstania, do którego wtenczas w Irlandyi najmniejszy pozór byłby wystarczył. Matka niedługo cierpiała. Za ośm dni połączyła się z synem swym ukochanym. W chwili, gdy dusza jej ten świat opuścić miała, nachylił się arcybiskup nad jej łożem. Nie wiem, co do niej mówił, ale radość zabłysła w jej oczach, gdy je ku niebu podniosła, będąc odtąd przekonaną, że tam w niebie syna swego spotka. Potem zawołała mnie, którego od owego

wypadku widzieć nie chciała; objęła mnie swemi wychudłemi rękami, pieszczotami mnie wśród łez obfitych obsypała, nazywała mnie swoim świętym, błogosławionym, męczennikiem, a gdy ją ks. arcybiskup pobłogosławił, chciała, abym i ja jej mego błogosławieństwa udzielił.

Bóg mi użyczył łaski, żem dożył tego szczęścia, iż niewinność mego brata wyszła na jaw. Zbrodniarz publicznie wyznał swą zbronię. Brata mego przywrócono acz po śmierci do szlachectwa i do dawnej godności. Gdyby ta historya nie była już od wielu lat powszechnie znana, czyż ja jako spowiednik mógłbym ją był wam dziś opowiedzieć?

Największe nieszczęście naszych ogrodów.

Każdy, kto przejeżdżał przez Morawy, Czechy, Niemcy, jednem słowem przez kraje środkowej i zachodniej Europy, mógł łatwo zauważyć, że znajduje się tam wiele bardzo pięknych ogrodów. Co więcej, tam nawet gościńce i drogi polne obsadzone są drzewami owocowemi. Przecudny to widok, gdy się patrzy na takie okolice.

Jakże inaczej pod tym względem przedstawia się nasz kraj. Wprawdzie można już zobaczyć piękne i obszerne ogrody i sady owocowe po naszych miasteczkach, ale zato, gdy przejeżdżamy przez wioski, to widzimy koło domów same drzewa dzikie, a drzewo owocowe można gdzieś rzadko uśledzić. Nie widać nigdzie kultury, uprawy drzew owocowych. Chyba, że się samo tam gdzieś uczepi. Taksamo przy gościńcach i drogach widać albo nieużyteczne zarośla, albo spruchniałe, pochylone wierzby. Wprawdzie Sejm galicyjski uchwalił przed kilku laty, że gościńce i drogi mają być obsadzone drzewami owocowemi, ale uchwała ta pozostała na papierze, albo też zrobiono w niektórych okolicach małe nic nie znaczące początki.

A szkoda wielka, że nasi ludzie nie umieją pielęgnować drzew owocowych. Wszakże w naszym kraju dojrzewają najpiękniejsze gatunki owoców. A jest tyle miejsca, że drzewa owocowe zasadzone, zrodziłyby podostatkiem owoców dla mieszkańców kraju i jeszcze tysiące wagonów możnaby było wywieźć zagranicę.

Jak więc można sobie wytłómaczyć ten dziwny i smutny objaw, że w naszym kraju panuje pewna niechęć do sadzenia drzew owocowych?

Niektórzy mówią, że drzewa dzikie chronią dobrze przed ogniem. I całkiem słusznie! Ale drzewa owocowe taksamo chronią przed ogniem jak drzewa dzikie.

Ważną przyczyną jest wrodzona Polakom niechęć, ospałość pod tym względem. Drzewek owocowych dzisiaj łatwo wszędzie kupić i zasadzić, ale nawet i tego niejednemu się nie chce.

Ale często też daje się słyszeć tę wymówkę: „Ja dlatego nie sadzę drzew owcowych, bo się nic nie ostoi, złodzieje oberwią, nim jeszcze owoc dojrzeje, a do tego połamią gałęzie“.

I rzeczywiście ta wymówka jest zupełnie prawdziwa. Znaliśmy ludzi, którzy mieli szczery zamiar założyć piękne ogrody owocowe, ale niestety tyle robiono co roku szkód, że wreszcie zniechęcili się do wszystkiego.

— Smutne to, oj, bardzo smutne! Widać, że w naszym kraju niema poszanowania cudzej własności!... Widać, że mało jeszcze postępu, oświaty i kultury!... Tak być nie powinno! Widać, że inne narody umieją lepiej szanować cudzą własność.

Widać zatem, że największą plagą, największem nieszczęściem naszych ogrodów są szkodniki. We wsi grasuje nieraz szajka chłopaków, którzy nocami wkradają się do cudzych ogrodów, kradną owoce, łamią gałęzie. Przeciwko takim powinna się zwrócić poczciwa opinia całej wsi. Takich powinno się donieść do sądu, ażeby za te kradzieże odsiedzieli za kratkami, bo jest surowa ustawa na takich szkodników.

To dziwne łakomstwo na owoce, jest najlepszym dowodem, że każdy człowiek uczuwa potrzebę jedzenia owoców. A ponieważ w naszym kraju jest mało owoców, więc nic dziwnego, że gdy się gdzieś pojawią, to oberwią wszystko z gałęziami.

Drodzy Czytelnicy! Te słowa dojdą do was, gdy zacznie się czas owoców. Wystąpcie więc z całą surowością przeciwko tym zdziczałym szkodnikom! Ale nie dosyć na tem! W naszym kraju musi nastąpić wielka zmiana: wycinać drzewa dzikie, a sadzić owocowe. Wtenczas będziemy posiadać tak wielką ilość owoców, że każdy będzie posiadał swoje własne, albo z łatwością sobie kupi, a nie będzie wyciągał ręki po cudze!

Na łożu śmiertelnem znaleziona.

Na przedmieściu Nowego Yorku w tylnej części kamienicy leży kobieta w konaniu. Pokój jest wielki i wysoki, ale oprócz łóżka i stołu, starego fotelu i dwu drewnianych krzeseł niema innych sprzętów; i firanki już dawno nie prane okazują ślady starości.

— Tereso mam pragnienie! — wyjękła cicho kobieta.

Teresa, kobieta 58-letnia, zbliża się, wlewa kilka kropel w szklankę wody, podaje chorej, podpierając ją ostrożnie i sadzając na łóżku.

Dziś pani wielkie ma boleści — rzekła łagodnym, litościwym głosem.

— Nie mogę ci wcale wyrazić, jak mnie tu piecze — pokazując na czoło — jakby wszystko było żarem ognistym.

Potem głęboko westchnąwszy, opadła na poduszkę. Któż to jest ta osamotniona?

To włoska śpiewaczka, przed 20 laty tak uwielbiana i bogactwy obsypywana Aurora Fracchi (Fraki); wtenczas portret jej błyszczał na wystawach, dzienniki unosiły się na wyścigi nad jej zaletami, ile razy w sali „przepełnionej po brzegi“, znowu „samą siebie przewyższyła“. Wtenczas mieszkała w pierwszym hotelu miasta, najwspanialsze karety były na jej usługi, salony jej były punktem zbornym wyborowego, bogactwy, dowcipem i talentem znacznego towarzystwa. A jako pieniądze na tysiączki zarabiała, tak je też tysiącami wyrzucała kapryśna, rozpieszczona włoszka. A teraz jakże się wszystko zmieniło!

Długotrwała choroba piersiowa tę zmianę sprowadziła. Kosztowności, drogie kamienie, meble, piękne suknie zastawić musiała, a skoro ostatnie źródło pomocy wyschło, a choroba niebezpieczna dosięgła stopnia, musiałaby była pójść do szpitala, gdyby nie stara jej sługa Teresa i lekarz, doktor Z. Tamta, sierota irlandzka, służyła jej wiernie w dniach szczęścia i chwały, nie porzuciła jej w czasach ubóstwa i zapomnienia. Lekarz zaś Dr. Z. przez polecenie śpiewaczki, miał licznych pacyentów i jej zawdzięczał majątek i sławę.

— Tereso — rzekł lekarz dnia jednego — musicie na niejaki czas pójść do mej siostry; jużem o tem z nią

mówił, siły wasze są już prawie zupełnie wyczerpane; skoro sobie kilka dni odpoczniecie, możecie znowu przyjść. Chorej pani waszej na niczem nie zbędzie; jeszcze dziś popołudniu przybędzie Siostra miłosierdzia z St. Mary, aby was zastąpić. Tak będzie lepiej, Tereso, jak sądzicie?

Teresa nic nie rzekła, tylko fartuszkiem przesunęła po oczach, by łzy swoje ukryć.

Pod wieczór przyszła Siostra miłosierdzia. Teresa dała jej cichutko niektóre wskazówki co do lekarstwa, uścisnęła rękę swej pani i wyszła, mówiąc:

— Ja wkrótce przyjdę!

Siostra niejaki czas cichutko w fotelu posiedziawszy naprzeciwko chorej, nie będąc spostrzeżoną od niej, obaczyła, że chora nagle obróciła się, i prosiła o szklankę świeżej wody.

Uprzejmie powitała ją Siostra i pobiegła spiesznie spełnić jej życzenie. Pomogła jej nieco podnieść się i podała jej wody. W tej chwili chora podniosła swe oczy i wpatrzyła się w Siostrę. Jakby przestraszona, cofnęła się i zapytała głosem wzruszonym:

— Wiele lat ma Siostra?

— Ośmnaście.

— Ośmnaście! — powtórzyła chora powoli, westchnąwszy głęboko.

— Czy Siostra wie, że ja wkrótce umrę?

— Nic mi o tem nie mówiono, że z panią tak źle; spodziewam się, że sztuka lekarska za pomocą Bożą ocali panią.

— Ocali? — odrzekła chora słabym, niepewnym głosem. — Poco mi żyć dłużej? Piękność i młodość, to życie; jam już umarła, me dziecię!

Siostra zamilkła i otworzyła książkę do modlenia. Tylko od czasu do czasu spojrzała na szybko oddychającą chorą. Ta zdawała się drzemać, ale czasami utkwiła napół ciekawy, napół zdziwiony i życzliwy wzrok w modlącą się Siostrę. Nagle obróciła się chora i zapytała:

— Siostro, jak ci na imię?

— Siostra Franciszka.

— Ja pytam o imię na świecie!

— Reguła nam zakazuje wymieniać je.

Ale siostra może mi powiedzieć, gdzie mieszkają jej rodzice?

— Ja już nie mam rodziców; mój ojciec umarł.

— A matka?

— Ja jej nigdy nie znałam.

— Biedne dziecko — westchnęła chora; — musiałaś się tak wcześnie w kwiecie wieku żywcem pogrzebać w murach klasztornych!

— Pani nie wie co mówi; — odrzekła Siostra wesoło i spokojnie. — Pani widziała świat i jego wspaniałość i bogactwo pani posiadała, a jednak teraz musi pani przyznać, że to było tylko pianą i ułudą, ja zaś w mem ubóstwie jestem zadowolona i wesoła.

Chora drżącą rękę przycisnęła do czoła i głęboko westchnęła. Potem znowu rzekła:

— Jeżeli Siostra ma słuszność, jeśli wszystko jest próżnością, to jednak przeżyłam jeden rok szczęśliwy przy boku męża, którego nie powinnam była przestać miłować, jak on na to zasłużył. Przy tych słowach drżał jej głos, a łza zabłysła w jej oczach.

Miałam właśnie lat ośmnaście, tak jak siostra ma teraz. Proszę wziąć ten kluczyk — i wyjęła go z pod poduszki — i proszę otworzyć szkatułkę, co stoi przy oknie: znajduje się tam świadectwo ślubu i metryka na moje prawdziwe imię: Anna Bilger. O gdyby on teraz był przy mnie, o gdybym z ust jego usłyszała te słowa: „Anno, ja ci przebaczam“, jak chętniebym i spokojnie umarła!

Siostra Franciszka pobladła i tylko z największem wytężeniem te słowa wyrzekła:

— A człowiek, o którym pani mówi, czy nie nazywał się Michał von der Stachelhart?

— Tak jest; ale skądże Siostra zna to nazwisko?

— On mnie wychował; to mój ojciec!

— Więc ty urodziłaś się w Szwajcaryi, w Lucernie; a ojciec, skorom go porzuciła, wziął cię z sobą do Niemiec?

Siostra rzekła:

— Tak; — więcej mówić nie mogła; upadła na kolana przed znalezioną matką i ręce okrywała pocałunkami; ale chora nadludzką siłą przycisnęła ją do piersi i z rozkoszy płacząc, mówiła:

— Tak, to ty, moje jedyne, najdroższe dziecię! Dzięki, dzięki niech będą dobrotliwemu Bogu, że cię wreszcie do mnie przyprowadził; o, na tyle łask i radości nie zasłużyłam!

Potem wzięła głowę córki w swe ręce i wpatrywała się długo w to niewinne, łzami radości błyszczące oko!

— Więc ty nie wiedziałaś, kto ja jestem, gdyś tu przybyła?

— Ojciec nigdy ani słówkiem nie mówił mi o śpiewaczce Aurorze Fracchi.

— A gdzie i jak umarł ojciec?

— W miasteczku nad górnym Renem, dokąd się usunął od świata, aby żyć tylko dla Boga i memu wychowaniu się poświęcić. Tam też umarł: w prawej ręce trzymał moją, a w lewej rękę kapłana. Ostatnie jego słowa były: „Módl się za twoją matkę, aby jej Bóg dał szczęśliwą godzinę śmierci!“

Modlitwa ojca i dziecka została wysłuchaną: matka wraz z córką i Kościół znalazła, i w słodkich objęciach rodzonego dziecka, Siostry Miłosierdzia, i duchownej Matki, Kościoła, po przyjęciu św. Sakramentów spokojnie w Panu zasnęła.

W suterynach i na poddaszach Krakowa w czasie wojny.

Każdy, kto dłuższy czas przebywał w większem mieście, jak w Krakowie, mógł łatwo się przekonać, że poza zewnętrznym blichtrem i świetnością kryje się dużo ubóstwa i nędzy. Znajdziesz tam sporą liczbę takich, którzy przesiedlili się do Krakowa bez istotnej potrzeby, spodziewając się, że w większem mieście prędzej wyżyją, według zasady „jakoś tam będzie“. Gdy są młodszymi i silniejszymi jakoś rzeczywiście sobie radzą, ale kiedy podupadną na zdrowiu, kiedy opuści ich energia życiowa, popadają w ogromne ubóstwo i pomnażają liczbę bezdomnego proletaryatu. Znajdziesz tam i takich, którzy przedtem względnie dosyć dobrze się mieli, a w ubóstwo popadli dopiero później. Nie mogli oni tego nawet przewidzieć. Do takich trzeba zaliczyć stare, schorowane służące, które przez długie lata uczciwie pracowały i zarabiały na życie, ale teraz już nie mogą pracować; zwykle nic sobie nie zaoszczędziły i teraz znajdują się w bardzo przykrym stanie; do stron rodzinnych nie mogą już powrócić, bo łączność ta mimowoli z czasem się zerwała, pozostają więc w mieście i są ciężarem dla siebie i dla drugich. Do tej kategoryi zaliczyłbym też wielką liczbę wdów, które znajdowały się w nienagorszem położeniu za życia swoich mężów, ale po ich przedwczesnej śmierci zostawione same

sobie nie mogą sobie dać rady. Albo mają do wychowania małoletnie dzieci, a wtenczas położenie ich jest jeszcze okropniejsze, albo żadnych dzieci nie miały, i nie ma ich kto wesprzeć na starość, albo też może mają dorosłe dzieci, ale te zapominają o rodzicach już to dlatego, że muszą same myśleć o sobie, już też z braku poczucia wdzięczności dla rodziców, co w wielkiem mieście jest na porządku dziennym. Znajdziesz też znaczną liczbę takich ubogich, dla których ubóstwo stało się fachem i zawodem. Tacy żyją lekkim chlebem! Przebywają dłuższy czas w mieście, poznali lepsze domy, instytucye miłosierne, zakłady dobroczynne! Tacy umieją wszędzie się wkręcić, napisać i zanieść pokorne prośby, wszystkim się narzucać i naprzykrzać! To może najgorszy gatunek nędzarzy wielkomiejskich, najmniej na litość zasługujących. Nie trzeba też zapominać o sporej liczbie publicznych żebraków. Dodaj do tej liczby sporą paczkę tych, którzy młodszych latach żyli grzesznie i rozpustnie według zasady „użyj świata, póki służą lata“, którzy nabawili się przytem rozmaitych chorób, a których ubóstwo jest słuszną i sprawiedliwą karą Bożą za ich grzeszne życie! Dobrze, jeżeli przynajmniej upamiętali się i znoszą z poddaniem się woli Bożej i w duchu pokuty zasłużony los! Gorzej z tymi, którzy narzekają na siebie i drugich, i powiększają grozę strasznego piekła już tu na ziemi.

Przechodzień idący ulicami wielkiego miasta i spotykający się z błyszczącemi wystawami sklepowemi, z gwarnemi kawiarniami, z modnymi strojami kobiecymi, z wrzaskliwem życiem ulicznem, ani się nie domyśla, ile obok niego kryje się ubóstwa i nędzy! Niech opuści ulicę, robiącą miłe wrażenie widokiem wysokich kamienic, a niech wstąpi w podwórza, w suteryny i na poddasza tych samych kamienic, a spotka się z całem rozległem królestwem nędzarzy i biedaków, o których mówiliśmy powyżej.

To zwyczajny obraz większych miast w długich czasach pokojowych! Cóż dopiero mówić o tem wszystkiem w czasie wojny! Los tych wszystkich biedaków stał się daleko straszniejszym i tragiczniejszym. Jeżeli ludziom ze sfer urzędniczych i mieszczańskich i z warstw względnie dosyć zamożnych trudno teraz wyżyć w wielkiem mieście, zwłaszcza przy panującej niesłychanie wielkiej drożyźnie wszystkich środków potrzebnych do życia i ubrania się, to co dopiero mówić o tym całym licznym legionie różnych biedaków, którzy żyli najczęściej z łaski i z miłosierdzia ludzkiego. Dawni opiekunowie albo wyjechali, albo ucierpieli z powodu stosunków wojennych, albo z innych przyczyn odmówili pomocy różnym ubogim, której przedtem przez czas długi udzielali, tak, że możemy ogólnie powiedzieć, że w suterynach i na poddaszach Krakowa podniósł się wielki lament i okrzyk rozpaczy.

Znaczna liczba ubogich otrzymywała przed wojną z Magistratu krakowskiego stałe miesięczne wsparcia, wynoszące po kilka lub kilkanaście koron, ale że Magistrat sam znalazł się w trudniejszych warunkach finansowych, albo też dla tej zasady z czasów ewakuacyi, że ubodzy nie mający zapasów i środków do życia, powinni twierdzę krakowską opuścić, zamknął listę stałych miesięcznych wsparć, tak, że obraz nędzy krakowskiej jeszcze się powiększył, a ubodzy znaleźli się jeszcze w gorszem położeniu. Sam Magistrat to uznaje i zaczyna pomału udzielać na nowo doraźnych zapomóg. Przed wojną mógł przeznaczać na ten cel kilkadziesiąt tysięcy koron, jeżeli się nie mylę około 80 tysięcy, ale nie chcę przy tej cyfrze obstawać.

Istniejąca od czasów wielkiego X. Piotra Skargi instytucya „Arcybractwo Miłosierdzia i Bank Pobożny“ miała do spełnienia ciężkie zadanie w czasie wojny. Cały ciężar i cała troska o los biedaków zwaliła się przez pewien czas na tę starożytną i poważną instytucyę humanitarną. Przyszłość wykaże, jak wiele zdziałało „Arcybractwo Miłosierdzia i Bank Pobożny“ dla biedaków w czasie wojny. Tylko tak poważna instytucya, jak „Arcybractwo Miłosierdzia“ mogła bez wstrząśnienia i niebezpieczeństwa dla siebie przetrzymać te ciężkie czasy.

Ale powoli zaczęło się ujawniać wielkie znaczenie i błogosławiona działalność Krakowskiego Biskupiego Komitetu (K. B. K.). W tak wielkiem mrowisku ludzkiem, jakie stanowi już bezsprzecznie miasto Kraków, znalazła się wielka liczba osób, która ucierpiała z powodu wojny, i która dlatego mogła również korzystać z dobrodziejstw komitetu. Naturalnie, że przechodzi zakres niniejszego artykułu rozwodzić się o pracach i zasługach K. B. K. Jest to wielkie dzieło Opatrznościowe, wielki czyn kościelny i narodowy, dokonany mrówczą zapobiegliwością Księcia Biskupa krakowskiego, który uratował od śmierci głodowej tysiące istnień polskich. Jakkolwiek działalność tego Komitetu rozciąga się na cały kraj i kieruje się przedewszystkiem w stronę bezdomnych i bezpośrednio najbardziej dotkniętych klęskami wojny, to jednakowoż nie można — gdy mowa jest o ubogich miasta Krakowa — pominąć milczeniem wielkich zasług, jakie kładzie K. B. K., ratując również przed nędzą biedną ludność tutejszego miasta, cierpiącą z powodu wojny.

Książę Biskup Dr Adam Sapieha okazał wielkie zaufanie dla konferencyi św. Wincentego a Paulo, działających oddawna na gruncie krakowskim. Im to bowiem zlecił sprawdzanie próśb, wnoszonych do K. B. K. i przedstawianie odpowiednich wniosków. Jak z tego widać, działalność konferencyi jeszcze bardziej się wzmogła podczas wojny. Konferencye św. Wincentego a Paulo, te piękne instytucye tak bardzo odpowiadające duchowi Chrystusowemu i ewangelicznej nauce miłości bliźniego, nakazującym czynić dobrze maluczkim tego świata, nie zawiesiły działalności swojej na czas wojny, chociaż z trudnością przychodzi im podołać ciężkiemu i trudnemu zadaniu, bo liczba rodzin, które zgłaszają się pod opiekuńcze skrzydła konferencyi stale się powiększa, a fundusze konferencyi z powodu panującego powszechnego ucisku wcale nie wzrastają. W każdym razie konferencye czynią co mogą, a jeżeli nie mogą zawsze, tak, jakby chciały, przychodzić z wydatną pomocą materyalną, to przynajmniej starają się pocieszyć i osuszyć łzy biedakom i swojem co tygodniowem zjawianiem się w suterynach i na poddaszach, zamieszkiwanych przez zapomnianych i opuszczonych tego świata, wnoszą w te miejsca promień światła i stałą dozę ciepła serdecznego! I, zaprawdę, żadna inna instytucya miłosierna nie prześcignie i nie dorówna w tem konferencyom św. Wincentego a Paulo.

Lecz w miarę przeciągania się wojny, nędza i bieda nie zmniejsza się, lecz przeciwnie jeszcze szersze zatacza kręgi i coraz to nowe porywa ofiary. Miłosierdzie chrześcijańskie, niestrudzone żadnymi wysiłkami, wynajduje nowe sposoby, ażeby ubogim i cierpiącym przyjść z pomocą.

I oto jesteśmy świadkami, jak dopiero niedawno, bo na wiosnę bieżącego roku, powstaje zupełnie nowe zjawisko na gruncie krakowskim, urastają nowe instytucye humanitarne, mianowicie komitety opieki nad ubogimi w poszczególnych

parafiach krakowskich. Są to instytucye czysto wojenne: wywołała je i zrodziła wojna! Swoje powstanie zawdzięczają zawsze młodzieńczej inicyatywie Księcia Biskupa Sapiehy. O ile pamięć mnie nie myli pierwszy taki komitet powstał w parafii św. Mikołaja na Wesołej, a następnie w parafii św. Szczepana na Piasku w Krakowie. Są to dwie największe parafie krakowskie, obejmujące nadto rozległe przedmieścia Wielkiego Krakowa, gdzie mieszka gros ubogiej ludności, dlatego też utworzenie Komitetów dla opieki nad ubogimi w tych parafiach było najbardziej potrzebne. Następnie powstały takie Komitety w parafii św. Józefa, w nowej XXII. dzielnicy Wielkiego Krakowa, czyli w dawnym Podgórzu, parafii W. W. Świętych i w parafii św. Floryana na Kleparzu. W innych parafiach krakowskich nie utworzono jeszcze takich komitetów, jużto może dlatego, że niektóre parafie są bardzo małe, jak parafia św. Krzyża; jużto może dlatego, że położone w samem centrum miasta niewiele zapewne mają ubogiej ludności, jak parafia Najśw. Maryi Panny i św. Anny; jużto może dlatego, że brakło w ich obrębie znaczniejszej liczby inteligencyi, któraby była w stanie podjąć się tej pracy, jak parafie położone w dzielnicy Kazimierzowskiej lub na Zwierzyńcu; lub też wreszcie może dlatego, że przygotowania do takich komitetów są obecnie dopiero w toku, o czem dzisiaj nie można jeszcze nic konkretnego powiedzieć. W każdym razie działa już w Krakowie od kilku miesięcy pięć komitetów w większych parafiach krakowskich, którym we wzmiankach kronikarskich dzienników dają nieraz nazwę „komitetów parafialnych“, chociaż całkiem niewłaściwie, bo pod nazwą „komitet parafialny“, jak wiadomo z prawa kościelnego, rozumiemy całkiem co innego.

Jak już ze wzmianek kronikarskich i z ogłoszeń w dziennikach krakowskich można było wymiarkować, w skład tych komitetów wchodzi cały szereg pań (mniej daleko mężczyzn) z wysokiej arystokracyi, z warstw inteligencyi urzędniczej i mieszczańskiej. Mężczyzn mniej należy do tych komitetów, bo na barkach tych, których wojna pozostawiła w domu, spoczywa i tak wielki ciężar rozlicznych obowiązków, a nadto wojna stawia kobiecie katolickiej ważne i nowe zadania do spełnienia i domaga się od niej ich wykonania.

Komity powołane dla opieki nad ubogimi w poszczególnych parafiach krakowskich mają wielkie zadanie do spełnienia. One muszą niejako uzupełnić dobroczynne oddziaływanie humanitarnych, powyżej wspomnianych instytucyi; ale nie dosyć na tem, one muszą iść i idą dalej, mianowicie chcą zamknąć źródło nędzy. Dlatego nie zadawalniają się tylko wyszukiwaniem i udzielaniem ubogim doraźnych wsparć, czyto w gotówce, czyto w postaci różnych wiktuałów, lecz nadto powstały w łonie tych komitetów różne sekcye, które roztaczają opiekę nad młodzieżą, zajmują się wyszukiwaniem dla ubogich pracy, sporządzają ubogim bieliznę i ubrania, a tem samem dają pewnej liczbie pracownic zarobek i t. d., i t. d.

Jak z tych kilku słów, poświęconych komitetom w obrębie parafii, widać, muszą się spotkać te nowe instytucye katolickie z największem uznaniem i aplauzem. Nie wielkiej dopuścimy się przesady, gdy powiemy, że przypominają one w wysokiej mierze błogosławioną miłosierną działalność pierwszej gminy chrześcijańskiej. Bo jak wtenczas bogate rodziny przeznaczały nieraz cały swój majątek na wsparcie ubogich, tak też podobnie teraz, w czasie ciężkiej wojny, panie z najlepszych domów nie wahają się poświęcać części swoich zasobów, ażeby użyć ubogim. Bo łatwo się dorozumieć, że fundusze nie czerpią skądinąd, jeno ze składek zbieranych, na swoich tygodniowych zebraniach i ze wsparć, otrzymywanych od znajomych. Niektóre komitety otrzymały po kilkaset koron od K. B. K.

Byłoby bardzo pożądaną rzeczą, ażeby te komitety utrzymały się nadal i po wojnie. Kto wie, czy Opatrzność nie przeznacza im wielkiego zadania na przyszłość i czy one nie przyczynią się do rozwiązania kwestyi społecznej w czasach powojennych.

Kończę te uwagi o ubogich w Krakowie w czasie wojny. Prawda, że z jednej strony przedstawia się smutny i ponury obraz biedy i nędzy, ale zato z drugiej strony doznajemy nie małej pociechy, gdy widzimy w jak piękny sposób objawia się miłosierdzie chrześcijańskie. Daje się często słyszeć narzekanie na obojętność religijną wśród naszej inteligencyi, ale przecież widać, że nie wygasły tam jeszcze w tych sercach gorące uczucia miłości Boga i bliźniego, jeżeli te dusze zdolne są do poświęcenia i czynów chrześcijańskich.

Miłosierdzie chrześcijańskie ciągnie się jak złota nić wśród historyi narodów chrześcijańskich. Ono wzbudza tak wielkie i święte postacie, jak świętych Marcinów, Elżbiety i Kunegundy! Ono daje wielkim ludziom inicyatywę do wielkich czynów i skłania coraz to nowe zastępy chrześcijan do nowych prac i nowych poświęceń.

M.

Do czego prowadzi we Francyi powołanie księży do wojska.

Salzburska „Gazeta Kościelna“ podaje następujące informacye, które tutaj przytaczamy:

Jeden z poddanych neutralnych państw zwiedziwszy środkową Francyę w pierwszej połowie lipca, takie odniósł wrażenie o początku anarchii, jaka grozi Francyi z powodu ucieczki ludzi ze wsi do miast i z powodu powołania do służby wojennej większej części duszpasterzy. Wszystkie te nieszczęścia Francya zawdzięcza nieprzyjaciołom wiary św. i rozdziałowi Kościoła od państwa.

Ucieczka do miast ze wszystkich portów francuskich i ze wszystkich wiosek jest cechą dzisiejszej doby. Jeżeli objaw ten dalej rozwijać się będzie, jak to już trwa od dwóch miesięcy, to jeszcze w ciągu wojny, najpóźniej w jesieni musi dojść do katastrofy. Już dziś tam wszystko przewrócone do góry nogami. W mojej podróży z Besancon, Dijon do Auxerre trafiłem w wiosce Flee na starszego już proboszcza. Wszystko co żyło uciekło do miasta z obawy przed bandytami, plądrującymi po całej okolicy.

Wielcy i mniejsi właściciele, opowiadał proboszcz, straciwszy robotnika prędzej lub później poszli za przykładem ludności. Kto zbierze zboże, Bogu tylko wiadomo!... Wszelkie odwoływanie się do władzy pozostaje bez odpowiedzi. Rząd stał się dzisiaj bezradnym. Z całej ludności wioski, która przed wojną wynosiła 1800 mieszkańców, a jeszcze w marcu liczyła ich 600, dziś... pozostał, nauczyciel, kościelny i ja!...

Wioska Flee jest charakterystycznym obrazem tego, co się dzieje w tysiącu innych. Dodać jednak trzeba, że nie sama obawa bandytów jest powodem napływu ludności do miast i miasteczek. Ciągnie ją tam nadzieja zarobku. Zwłaszcza kobiety i dorastające dzieci żołnierzy przenoszą się do miasta. Same tylko fabryki amunicyi pochłaniają

wszystkie siły gospodarcze i ta jedna choćby okoliczność grozi Francyi zupełną ruiną.

Są jednak gorsze jeszcze dane ku temu: Mało jest wiosek, w którychby nie panowała zupełna anarchia z powodu opłakanych stosunków w urzędzie gminnym. Mer, nauczyciel i proboszcz, stoją albo na froncie, albo złamani na duchu i ciele nadmiarem pracy i widokiem strasznej nędzy, stali się niezdolnymi do spełniania swoich obowiązków. Jakże okropnie mści się na Francyi rozdział Kościoła od państwa! Prawie wszyscy duszpasterze, co się na nogach trzymają, powołani zostali do służby na froncie lub po za frontem w charakterze pisarzy i zarządców, aby tym sposobem uwolnić młodsze siły i ażeby młodsi żonierze mogli być posłani do twierdz lub strzeleckich okopów. Nieoszczędzono nawet 60 i 70 letnich starców, w czem i zemsta radykałów niemałą grała rolę. Wielu proboszczów zasiada dzisiaj w sądzie, prefekturze i innych urzędach, załatwiając sprawy w połowie zostawione przez powołanych w szeregi urzędników; inni znowu musieli objąć naukę po wyższych zakładach, a Rząd ani chce słyszeć o jakichkolwiek wymówkach z ich strony. Takie przekręcenie powołania kapłańskiego stało się fatalnem wobec wrzenia ludności wiejskiej, bo duchowieństwo przeciwdziałało całą siłą swojego urzędu przeciw masowej emigracyi. Gdzie tylko zabrakło proboszcza, natychmiast wszystko się rozluźniało. Ziemscy właściciele, gospodarze i dzierżawcy tracili w nim ostatnią pomoc i ucieczkę. Proboszcz był nietylko ich rzecznikiem i obrońcą, ale co więcej zastępował miejsce nauczyciela i mera, czuwał nad interesami gminy i sumiennie wypłacał pensyę wdowom i żonom walczących, póki tylko można było grosz jaki ściągnąć.

„W okręgu ośmiomilowem — opowiadał mój proboszcz — musiałem być w dziewięciu gminach proboszczem, pisarzem, kasyerem i przedstawicielem gminy. Musiałem utworzyć rodzaj milicyi, złożonej po części z kobiet, starców, niedomagających mężczyzn i dzieci, ażeby się bronić w razie napadu włóczącego się motłochu... Zdarzało się nawet, że sam będąc kaleką, musiałem uczyć moich żołnierzy egzecyrki!... Prócz tego byłem aptekarzem i doktorem, bo w całej naszej parafii nie było ani jednego. Co ja nie musiałem i czego nie robiłem!... Mieliśmy jedną dychawiczną szkapę, a i tę skradziono nam w nocy, przyczem o mało nie zabito dziewczyny! Na domiar biedy zachorował mi kościelny, moja prawa ręka. Ponieważ ludzie nie chcieli płacić podatków, a ja nie byłem w możności przymusić ich do tego zabrakło pieniędzy na wypłacanie pensyi; ja sam wszystko oddawszy, ubogi jestem jak mysz kościelna! Wobec tego wszyscy emigrowali do miasta, a chociaż i tam czekała ich straszna nędza, niczem nie dali się nakłonić do pozostania na miejscu. „Mamy już dosyć, mówili, i zdzierstwa i ciągłej obawy o życie; w mieście będzie nam lepiej". — Gdybyż tylko u nas tak było! Ale na wschodzie i południu równie smutno, a może jeszcze gorzej!" — To początek zupełnego rozkładu i anarchii!

List do Redakcyi

Od jednej czytelniczki naszego pisma otrzymaliśmy z Andrychowa list, który z miłą chęcią zamieszczamy. List ten opiewa:

Andrychów, 25. lipca.

Szanowna Redakcyo!

Dzięki zachęcie naszego księdza Stanisława Sapińskiego, my, dziewczęta z wsi, zostałyśmy czytelniczkami gazety „W obronie prawdy". Zachęcił nas, ażeby każda z nas w domu tę gazetkę miała i ażeby ją czytała. Przez gazetę więc zasyłamy ks. Stanisławowi Sapińskimu podziękowanie, że nam gazety sprowadza, i że otrzymujemy je na każdy miesiąc w pierwszą niedzielę.

Chciałabym też zachęcić dziewczęta, ażeby nadal chciały korzystać z tej gazety i ażeby ta gazeta nie przestała przychodzić do nas, bo jest w niej wiele zachęty do dobrego i wiele przykładów wojennych! A przeto was proszę, nie opuszczajcie tej gazety. Zamiast lecieć gdzieś na niepotrzebne pogawędki, lepiej zająć się czytaniem, a możeby było inaczej po wsiach. Nie byłoby tyle obmów, zazdrości, łakomstwa, procesów! Serce boli, kiedy się widzi, jak nawet podczas tak wielkiej, surowej kary Bożej, wojny — tak mało między nami zgody i miłości. Przysłowie mówi, że „miłość buduje, niezgoda rujnuje", tymczasem u nas inaczej się dzieje!

Wkońcu zanoszę Szanownej Redakcyi i wszystkim czytelnikom pozdrowienie!

Czytelniczka **M. F.**

Dopisek Redakcyi: Skądinąd nam wiadomo, że ks. Stanisław Sapiński w Andrychowie położył niemałe zasługi około rozwoju czytelnictwa, a zwłaszcza zaprowadził liczne koła miejscowe „Towarzystwa popierania prasy katolickiej". To jest najlepszym dowodem, jak wiele dobrego w tym kierunku może zdziałać ruchliwy i pracowity kapłan. Lud polski jest bardzo wdzięczny za tę pracę. List powyższy jest najlepszym tego dowodem. Warto więc pracować dla ludu polskiego.

Gdzie szczęście?

Na grobie jednego dziecięcia napisano słowa: „Przyszło na świat, zapłakało i umarło". Takby się zdało pisać na grobach wszystkich ludzi. Krótkie bowiem są dni człowieka na ziemi, a żywot jego zawsze mozolny i łzawy. Słusznie też ziemię nazwano „padołem płaczu".

W dziejach starożytnych Greków i Rzymian widzimy, że te narody żyły bardzo dostatnio i wygodnie. Wszystkie siły swych wielkich zdolności użytkowały te ludy na to jedynie, by to życie ziemskie sobie uszczęśliwić. O życie pozagrobowe niewiele się troszczyli. Jako poganie zresztą nie znali jego istotnej prawdy, a wierzenia swoje o niem wypowiadali jako baśnie. Greczyna, czy Rzymianina obchodziło tylko to życie ziemskie. I dla tego życia szukali szczęścia ich wojownicy w zwycięskich wyprawach na krańce znanego im świata, poeci i sztukmistrze chcieli je zakląć w swych wielkich dziełach, a między swemi radami drogę do niego pokazać.

I do czego wkońcu doszli?

Oto jeden, największy ich mędrzec powiedział: „Pierwszem szczęściem człowieka jest wcale się nie rodzić, a drugiem, gdy się już na świat przyszło, jak najprędzej zemrzeć".

Ci ludzie więc, choć tacy mądrzy i potężni byli, w pogoni za ziemskiem szczęściem opuścili ręce i orzekli, że tu, na tym padole płaczu, szczęścia niema, tylko łzy,

bo już istnienie samo jest największem wedle nich nieszczęściem.

Mylili się owi mędrcy. My, chrześcijanie, inaczej sądzimy. My wiemy, gdzie szczęście nasze. Bożą mądrością pouczeni wiemy, iż to życie ziemskie, w którem po cierniach i głazach stąpać nam trzeba, nie jest jednak niedolą, bo ono do szczęścia wiekuistego wiedzie. Oni szukali szczęścia koło siebie, my je widzimy przed sobą. Oni przykrości codziennego życia uważali za niedolę, my zaś za szczeble tej drabiny, po której po wieczną szczęśliwość mozolnie się pniemy. Ich ogarniała czarna rozpacz i przeklinali chwilę, w której światło dzienne ujrzeli, a nam przyświeca zawsze błoga nadzieja i błogosławimy Stwórcę za to, że nas do życia powołał. A choć to życie nieraz ciężkie i łzawe, nie rozpaczamy, wiedząc, że wszystko pochodzi z ręki Boga, który po nocy dzień daje, a po burzy słońcu świecić każe i ten Ojciec niebieski płacz nasz utuli i dobrotliwą swą ręką łzy nam otrze. Ta zaś dziecięca ufność w Bogu, daje nam już tu, na ziemi, to, czego poganie daremnie szukali; daje nam pokój duszy, który jest zadatkiem przyszłego szczęścia.

I w tem właśnie leży owa wielka moc wiary chrześcijańskiej, która zwycięża zawsze wszystkie mądrości ludzkie i ściąga ku sobie wszystkich, którzy pragną rzeczywistego szczęścia. Ludzkie dociekania nad zagadnieniami życia prowadzą zawsze do rozpaczy, chrześcijaństwo zaś budzi w sercu ludzkiem wobec tych zagadnień ufność.

Było dwóch włościan, sąsiadów. Jeden ciągle zgryziony, zrażony do życia, był zawsze w ciężkiej trosce a miotał straszne przekleństwa i bluźnił Bogu na niebie. Klęski i nieszczęścia spadały jak grad na jego strapioną głowę. To mu w polu na słocie wygniło, to zaraza na bydło przyszła, to znowu woda dobytek zabrała i tak ciągle, a coraz to gorzej.

Drugi natomiast zawsze był wesół, a radość z jego oblicza biła, jak to światło ze słońca; bo mu się darzyło i ziemia obfity plon zawsze przyniosła i chudoba doroczna szczęśliwie się chowała i klęska go jakoś zawsze mijała, bo jej szczęśliwie umykał. I dziwili się ludzie obydwom. Ten szczęśliwy, tamten w ciągłem utrapieniu. Tamtemu w polu zgniło, a ten miał wszystko suche w stodole. Dziwili się ludziska, a ten szczęśliwiec tak im swe szczęście tłumaczył: „Darzy mi się, bo mi słonko świeci wtedy, kiedy ja chcę“. „Jakto?“ — pytali, nie rozumiejąc. „Słonko świeci, kiej mu Pan Bóg każe — odpowiadał — a ja tak chcę, jak Bóg chce i Jego święta wola postanowi“.

I na tę wolę Bożą zdany, pracował, jak Bóg dał i zawsze był spokojny. Ufność w Bogu dawała mu pokój ducha i szczęście. Zaiste, w prostocie swojej większym był mędrcem ten kmiotek, aniżeli owi wielcy myśliciele pogańscy. Oni w przemyśleniach swoich doszli do rozpaczy, on zaś do szczęścia.

Pamiętajmy o Związku mszalnym.

W czasie wojny wierni składają więcej ofiar na msze święte. I nic w tem dziwnego! Przez ofiarowanie mszy świętej pragną podziękować Panu Bogu za zachowanie od nieszczęść, już to wyprosić błogosławieństwo i zdrowie dla żołnierzy na wojnie, a bardzo często ofiarują msze święte za dusze poległych.

Jednakowoż kapłani nie mogą zaraz odprawić wszystkich ofiarowanych im mszy św., gdy ich otrzymują większą ilość. Ludzie skarżą się nieraz, że muszą za długo czekać.

Podajemy więc wszystkim doskonały środek, jak sobie zapewnić udział w owocach mszy świętych. Oto wiadomo wam, pewnie wszystkim, Czytelnicy, że w dyecezyi krakowskiej istnieje dyecezyalny Związek mszalny. Każdy, kto się do niego zapisuje i składa przytem ofiarę przynajmniej 2 korony, ma udział w owocach 100 mszy świętych, odprawianych po wieczne czasy za wszystkich zapisanych do tego Związku mszalnego. Można też do niego zapisywać osoby zmarłe.

Czyż zatem nie widzicie, jak łatwą macie sposobność ażeby sobie i swoim najdroższym zapewnić korzyści mszy św. Już od kilku lat odprawia się corocznie 100 mszy św. za wszystkich ofiarodawców. — Zapiszcie więc do Związku mszalnego samych siebie, zapiszcie żołnieży przebywających na wojnie, zapiszcie wreszcie poległych!

Oto macie wskazany łatwy sposób, jak sobie zapewnić korzyści mszy św. Zapisując się do Związku mszalnego pełnicie zarazem drugi piękny cel. Mianowicie składane pieniądze są przeznaczone na budowę nowych kościołów w dyecezyi krakowskiej. Każdy ofiarodawca przyczynia się zatem temsamem do budowy nowych domów Bożych!

Widać z tego, jak piękne i pożyteczne jest ustanowienie Związku mszalnego. Nawiasowo dodajemy, że Związki mszalne istnieją obecnie we wszystkich dyecezyach w naszym kraju. — Każdy kto pragnie się zapisać do Związku, powinien to uczynić za pośrednictwem księdza proboszcza swojej parafii.

Związek mszalny w dyecezyi krakowskiej, dzięki Bogu, dosyć pomyślnie się rozwija. Dotychczas zapisało się około 14 tysięcy osób. Ofiary tym sposobem złożone wynoszą już przeszło 30 tysięcy koron.

Sądzimy więc, że teraz podczas wojny jeszcze większa liczba osób będzie się zapisywać do Związku mszalnego.

Zapiszcie i poślijcie dzieci do szkoły.

Skończyły się wakacye, a nowy rok szkolny znowu się przybliżył. Na was, rodzice i opiekunowie, spoczywa ważny obowiązek! Macie mianowicie z tem większą troskliwością pomyśleć o tem, ażeby dzieci zapisać i wysłać do szkoły. Tembardziej trzeba o tem pamiętać, że z powodu wojny niektóre szkoły były przez dłuższy czas zamknięte, że dzieci z powodu tego odzwyczaiły się od porządku, karności i nauki.

Na rodzicach ciąży więc teraz tem większy obowiązek, ażeby poważnie pomyśleli o przyszłości swoich dzieci. A potrzeba nam tembardziej wzorowego wychowania dzieci, że podczas wojny pokazało się, iż, młodzież dorastająca okazała się bardzo krnąbrną, złą i nieposłuszną. Trzeba więc zwrócić na to baczną uwagę, ażeby dzieciom wpajać od młodości bojaźń Bożą, poczucie obowiązku i poszanowanie starszych.

O jedną rzecz się bardzo obawiamy, mianowicie, że rodzice nie zechcą teraz pilnie posyłać dzieci do szkoły, dlatego, że teraz niema kto pracować, więc rodzice gotowi są zatrzymywać dzieci szkolne w domu zamiast posyłać je na naukę. Lecz z tego wynikną jak najgorsze następstwa! Dzieci nie wiele pomogą w domu, a z nauki szkolnej też nie skorzystają! Rodzice więc powinni pa-

miętać, że pierwszym obowiązkiem dzieci szkolnych jest nauka! Mogą dopomódz też w pracy, ale dopiero po nauce szkolnej. Gdy dzieci wrócą ze szkoły, zamiast hałasować i biegać, powinny rodzicom pomódz w pracy.

Sądzimy, że niniejsza przestroga nie będzie zbyteczna.

Ojciec św. Benedykt XV. wobec prasy katolickiej.

Prasa wszechświatowa doszła do wielkiego rozwoju dopiero w ostatniem stuleciu. Stała się ona wielką potęgą. Niestety poszła w przeważnej mierze na usługi wrogów katolicyzmu.

Musiało się zatem przeciwstawić prasie bezbożnej prasę katolicką. Dlatego też trzej ostatni papieże tak gorąco nawoływali wszystkich katolików do usilnego popierania prasy katolickiej. Zmarły niedawno Ojciec św. Pius X. nie zawahał się nawet powiedzieć, że katolicy nadarmo będą budować kościoły, odprawiać misye, zakładać szkoły, że wszystkie te wysiłki nie na wiele się przydadzą, jeżeli nie stworzą silnej katolickiej prasy.

Łatwo się domyśleć, że podobnie zapatruje się na rozwój prasy katolickiej obecnie panujący Ojciec św. Benedykt XV. Oto mamy dokument, który świadczy o tem, jak gorąco pragnie Ojciec św. rozwoju gazet katolickich. Wiadomo zapewne naszym Czytelnikom, że od dziesięciu lat istnieje we Wiedniu towarzystwo zwane „Związkiem Piusa — Piusverein", które ma na celu popierać pisma katolickie moralnie i pieniężnie. Położyło ono już w Austryi wielkie zasługi około rozwoju pism katolickich.

Do prezesa „Związku im. Piusa" hrabiego Franciszka Walterskirchen, członka Izby panów i tajnego radcy nadeszło niedawno z Watykańskiego sekretaryatu stanu następujące szczególne pismo:

Sekretaryat Jego Świątobliwości.

Watykan, 17. maja 1916.

Jaśnie Wielmożny Panie!

Nie potrzeba długo opowiadać, jak bardzo miłym był Ojcu świętemu ów list, który niedawno otrzymał od Ciebie. Bo to coś w nim donosił, mianowicie o wzniosłym celu „Związku im. Piusa", o środkach używanych do jego osiągnięcia i o sposobie, w jaki się je stosuje, wskazuje, że Wasz Związek jest doborowem wojskiem wojowników, doświadczonych i dobrze przygotowanych do walki. Zaprawdę, że wyście zrozumieli ducha naszych czasów i poznaliście z własnego doświadczenia, jakie to niebezpieczeństwo — przy dzisiejszej gorączce do czytania — groziłoby coraz bardziej czystości obyczajów, nieskazitelności wiary św., gdyby ochotna gorliwość dobrych ludzi nie przeciwstawiła pisanemu słowu pisanego słowa i gdyby przeciwko złym i przewrotnym naukom i mniemaniom nie wynalazło odpowiedniego i stosownego do naszych czasów lekarstwa.

I dlatego to jest właśnie powodem, że chwalebnie nam panujący Ojciec św. nie tylko życzy Wam z całego serca szczęścia w tej pięknej pracy, mającej na celu dobro religii i społeczeństwa, lecz zarazem pragnie Wam również polecić, ażeby przy popieraniu i rozszerzaniu tego dobrego dzieła, nie ucierpiało ono co z powodu braku dobrego kierownictwa, lecz przeciwnie, ażeby wszystkie Wasze czynności związkowe przez roztropność połączoną z miłością i przez wytrawny sąd wychodziły zawsze na pożytek społeczeństwa i znalazły uznanie.

Zresztą tego upomnienia — jak się samo przez się rozumie — nie potrzebują ci, którzy tak jak wy, są posłuszni zleceniom biskupów.

Przeto w największem zaufaniu w cnotę Was wszystkich, a przedwszystkiem w Twoją, Ojciec św. gorąco życzy „Związkowi im. Piusa" jak najpiękniejszego rozwoju, to jest, ażeby zyskał jak najwięcej członków i dokonał jak najwięcej pożytecznych prac, a zarazem błaga Boga, dawcę wszelkiego Dobra, o obfitość łask Bożych dla niego i miłościwie mu błogosławi.

Przy sposobności zasyłam Waszej Ekscelencyi wyrazy mego wysokiego poważania.

Kardynał Gaspari, sekretarz stanu.

Jak więc widać z powyższego listu Ojciec w. Benedykt XV. gorąco pragnie rozwoju prasy katolickiej. Dlatego szczególnie błogosławi „Związkowi im. Piusa".

Zupełnie te same cele i zadania co „Związek im. Piusa" ma krakowskie „Towarzystwo popierania prasy katolickiej. Widać więc, że wszyscy katolicy w naszym kraju, którzy naprawdę pragną rozwoju prasy katolickiej, powinni przystąpić na członków tego Towarzystwa. Tym sposobem zjednoczeni i złączeni pod jednym wspólnym sztandarem będziemy mogli najłatwiej poprzeć skutecznie prasę katolicką.

Przed tak wielkim Sakramentem
Bijmy czołem w pokorze!
Przed Twym Nowym Testamentem
Gaśnie Stary, o Boże!
Niech nam wiara sił dodaje.
Gdzie moc zmysłów ustaje.

Bogu Ojcu i Synowi,
Co się wiecznie Zeń rodzi
I Świętemu też Duchowi,
Co z nich Obu pochodzi,
Bądź moc, sława, dzięka trwała,
Równa Wszystkim cześć, chwała!
Amen.

(Przetłomaczył z łać. ks. Arcybiskup Symon).

WYDAWCA: KS. KAROL NIKIEL. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA.

Drukarnia »Głosu Narodu« w Krakowie.